



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie.

W wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

HENRYK SCHLIEMANN.

Człowiek niepospolity, z iskrą tego poetycznego uczucia w piersi, które każe nam ukochać idealne strony istnienia ludzkiego na ziemi i nie żyć samym chlebem tylko, Henryk Schliemann, badacz starożytności greckich, umarł w Neapolu d. 27 Grudnia ubiegłego roku. Zwłoki jego zostały przecież przewiezione do Aten, aby spoczęły w tej ziemi greckiej, którą od młodości, a raczej od dzieciństwa, umiłował gorącym sercem entuzjasty, jako ojczyznę pierwszych górnych polotów ducha ludzkiego w stronę piękna dla piękna w sztuce—w stronę piękna dla duchowych naszych blasków w życiu. Pogrzeb odbył się d. 6 Stycznia bardzo wspaniale i uroczyste; za trumną postępował Król Jerzy grecki z synem, księciem Sparty, ministrowie i reprezentanci państw zagranicznych, wszystkie uczone zgromadzenia miejscowe, dyrektorowie zagranicznych szkół archeologii i był-to hołd wspaniały, oddany nauce i pamięci człowieka, który poświęcił jej życie.

Materyały do historii tego szlachetnego istnienia są obfite i wiarogodne, bo zebrał je on sam w przedmowie do wielkiego dzieła swego „Ilios“, dając czytelnikowi w szkicu autobiograficznym historią pierwszego rozbudzenia się w nim tych poetycznych zamiłowań starego hellenckiego świata, które nie opuściły go do śmierci. Dla czytelnika, wraz z interessem, jaki przedstawia osobistość piszącego, łączy się i ten drugi jeszcze: jak to wpływy wrażeń odbieranych w młodości oddziaływały na istotę ludzką—jak mogą stanowić o jej przyszłości. Im człowiek jest wyższym: przez siłę uczuć i wyobraźnię żywiej, goręcej wra-

żenia doznawane przyjmującym, tem staranniejszą powinna być czujność, aby dostawały się tu jedynie obrazy odbijające się wzorami szlachetnego tylko piękna na umyśle młodym. Schliemann urodził się d. 6 Stycznia 1822 r. na ziemi zatraczonego, zmaszanego z oblicza świata ludu sławiańskiego—w księstwie Meklenburg - Schwerin, w miejscowości Nowym Bukowie (Neu Buckow) gdzie ojciec jego był pastorem. Nikt pewno nie przedstawił dziecięcemu umysłowi tej myśli, że stąpa po grobach zaginionej dla dzisiejszego świata przeszłości, a co o tem mógł sam się dowiedzieć, nie ukazywało mu się snadź w postaci, która raby uderzyła wrażeniem żywszem—tak żywym, jakie wywarł na niego obraz Troi w płomieniach, z którym spotkały się oczy siedmioletniego dziecka. Ojciec dał mu na kolendę, przypuszczalnie dla rycin, historią powszechną Ludwika Jerrer i widok palącego się miasta, zapewne z odczytanym mu lub opowiadany opisem jego dziejów tragicznych, tak uderzył wrażliwą wyobraźnię i wrzucił do tego stopnia serce, że wtedy już dziecko uczuciowe i snadź poetyczne, przysięgło sobie spełnienie heroicznego czynu—odkopenie zgliszcz Troi, wydostanie ich na światło dzienne z pod popiołów i naleciałości wieków.

Śmiano się z malca. Śmieli się, żartowali z marzeń jego o przyszłości wszyscy: rodzice, krewni, towarzysze, i była tylko jedna słodka, łagodna istota, rówieśniczka jego wiekiem, tklawie ukochana, przed którą mógł się zwierzać dowolnie o rojeń swoich o marzonej podróży do Grecyi, o marzonym czynie wielkim, którego obrazami, stawianymi w mgłę przyszłości, karmił sobie duszę, można powiedzieć niepospolitą, skoro przy pierwszym świtanii myśli przy pierwszym rozwoju uczucia, mógł wysnuć sobie z fantazyi młodziuchnej takie rojenia podniosłe—stawiać takie cele dla życia. Jaka to jest nauka dla matek, dla kierowników młodości,—dowodzić nie potrzeba. Wrażenia—to krzesiwo, które uderza o krze-

mień ducha i nikt nie jest zdolnym obliczyć siły następstw wynikających z iskry tu urodzonej. Przykłady realne, przykłady przez otoczenie dające dziecku życie, przykłady tego życia w obrazkach idealnych, z książki czerpanych, odbijają się nieraz bardzo silnie na wyobraźni, na uczuciu młodem, i dają tu kierunek często o tyle niespodziewany, że zadziwia tych, którzy nie umieją obserwować życia. Szlachetne chłopię nie straciło przecież nic na zetknięciu się tak wczesnym z obrazem wielkich dramatów życia, szczęśliwe, że miało przy sobie duszę siostrzaną, której mogło zwierzać się z marzeniami swymi o przyszłości,—gdy nagle terażniejszość zasępiła się ponuro.

Rodzina nie była bogatą; wypadki losowe zubożyły ją jeszcze, i młody marzyciel musiał stanąć wczesnie na twardym gruncie tej rzeczywistości, która kazała mu zarabiać sobie na chleb. W 1836 roku, więc czternastoletni, został oddany do kupca korzennego w miasteczku Fürstenbergu, gdzie przebywał lat pięć, oderwany od domu, od rodziny, od tej słodkiej przyjaciółki swojej, którą życie pociągnęło w inną stronę. Modrooka Minna poszła za męża, i on został teraz samotny z marzeniami tylko, nie porzuconymi nigdy, aż jakiś wypadek sprowadził chorobę, która zmieniła kolej jego życia. Nie wrócił już do sklepu po wyzdrowieniu. To coś, co kazało dziecku śnić obrazami „Iliady“, pociągnęło go świat; w 1841 r. puścił się do Ameryki na małym statku dążącym do Wenezueli, że przecież nie miał pieniędzy, aby podróż opłacić, zgodził się za chłopca okrętowego. „Zawsze byłem ubogi—pisze we wspomnianej autobiografii—ale nigdy tak zupełnie obrany ze wszystkiego, jak wtedy“. Musiał sprzedać jedyny surdut, jaki posiadał, aby kupić sobie coś niezbędnie potrzebnego w podróży. Wypłyniono na morze w ostatnich dniach Listopada; 12 Grudnia statek, zagnany ku wybrzeżom Hollandyi, rozbił się. Osada została, na szczęście, ocaloną a on zbiedzony, ogołocony ze wszystkiego, dobił

się w największej nędzy do Amsterdamu, gdzie przecież zaświeciła mu gwiazda lepszego losu.

Dostał się szczęśliwie do sklepu korzennego, teraz już dwudziestoletni, i zwolna zaczął się wybić z biedy. Miał pensyi 800 fr. rocznie, z tego przecież, jak pisze, połowę poświęcał na cele zdobycia sobie trochę więcej światła, więcej nauki. „Żem graniczył z nędzą, to się domyślić łatwo—pisze—Mieszkanie, kosztujące mnie 8 fr. miesięcznie, było nędzną izbą bez żadnego ogniska i zimną trząsałem się tam z mrozu, latem omdlewałem z upału. Śniadanie przedstawiała wodzianka, a) obiad nie przechodził nigdy kosztu dwóch pensów“.

I wytrzymał to—wytrzymał przez lata całe takie życie anachorety dla miłości celów, z którymi w myśli nie rozstawał się nigdy, i o których marząc, czuł się szczęśliwym w nędzy, w osamotnieniu. Sam, bez żadnej pomocy nauczyciela i z książką tylko, uczył się wieczorami po skończonej pracy w sklepie, lub wczesnymi porankami, języków potrzebnych mu do marzonej zawsze wyprawy: angielskiego, francuzkiego, włoskiego, hollenderskiego, hiszpańskiego i portugalskiego, a metoda nauki, którą sam sobie ułożył, dozwoliła mu w bardzo krótkim stosunkowo czasie nauczyć się tyle, że nietylko pisał poprawnie każdym z nich, ale nawet mówił płynnie, do czego wprawili się w samotnych, z samym sobą prowadzonych rozmowach. W 1844 roku zmienia pracę swoją w sklepie, prozaiczną, utrudzającą, ale tylko pole tej pracy. Powiedział sobie, że za wiele czasu oddał na oznajmienie się z nią, aby mógł to uczynić bez szkody i został starszym subjektem w wielkim sklepie korzennym braci Schröder, prowadzących rozległe interesa poza granicami Hollandyi. W 1844 r. wysłano go do Petersburga, gdzie zrazu jako pełnomocnik a następnie jako wspólnik swoich pracodawców, obowiązki swe ucziwie i porządnie wypełniał, nie zapominając przecież nigdy tych celów innych, które obrał dla życia swego w marzeniach młodości, i powiedzieć można, że tento wytrzymały człowiek miał prawo do herbu ze starą dewizą rycerską: „Czekam pory“!...

Przyszła nakoniec... ośmnaście lat mozolnej, powszedniej pracy za kantorem kupieckim obok marzeń i zamiarów poety, noszonych w duszy, zostało za nim i teraz powiedział już sobie, że jest nakoniec wolnym, że ma możność, więc i prawo, rozrządzać czasem swoim i żyć na własny rachunek pragnień, piastowanych w duszy od lat tylu. Nauczył się też przytem być nietylko cierpliwym, ale i systematycznym. Ułożył sobie plan podróży według pewnych danych historycznych: zwiedził najpierw Egipt, Syryę, następnie dopiero Grecyę, którą przewędrował pieszo, z kijem pielgrzymim w rękę, zwiedzając wszystkie miejsca wielkich pamiętek i, jak niegdyś umiał się przykuć cierpliwie do pracy na chleb powszedni—na środki dla noszonych w duszy pragnień, tak teraz wykonywał plan obmyślany z góry. Objechał świat w koło, poczem zamieszkał w Paryżu, co było przecież tylko jedną stacją podróży jego. Zamał jeszcze umiał: trzeba mu było jeszcze studyów pewnych w zakresie starożytnej sztuki, starożytnej historii, i Paryż przedstawiał mu się jako miejsce, gdzie naukę, w obranym przez siebie kierunku, mógł zdobyć sobie najłatwiej, z korzyścią najpewniejszą. Oddał jej się też, jak gdyby był młodzieńcem u wstępu do życia. Czytał, studyował, słuchał wykładów publicznych, aż 1870 r. znalazł się znowu w Grecyi z planem już gotowym, aby wielką przeszłość, spoczywającą tu w mogile usypanej nad nią przez zawieje i burze wieków, pyły wieków, wydostaną została na jasność słońca. Wszystko to było tu zagubionem w pamięci ludzkiej, aż do śladów jakichkolwiek nazw miejscowości, żyjących nieśmiertelnie w historii.

Zwiedziwszy najpierw Itakę, gdzie, jak pisze, cień Penelopy zdawał mu się ukazywać zawsze w postaci zdaleka widzianych niewiast tej wyspy, poważnych, spokojnych i pracowitych, rozpoczął jakoby nową pracę Herkulesa. Zwiedzając pieszo ze starymi opisami Grecyi, z *Iliadą* w rękę okolice będące przypuszczalnie sceną wielkich dramatów przeszłości, doszedł do prze-

konania, że miejscowość zwana przez dzisiejszych Turków Hissalykiem kryje w łonie wzgórz i dolinek swoich zgliszcza, ruiny starożytnej Troi, i powziął natychmiast postanowienie odkopania tych szczątków wielkiej przeszłości, czego z wielkim nakładem pracy osobistej i znacznych sum pieniędzy dokonał, aby ukazać oczom dzisiejszego świata tę przeszłość bohaterską, unieśmiertelnioną przez poezję starych wieszczów greckich, które żyje w sercu człowieka i wiąże w całość jedną wszystko, co w ludzkości było wielkim i dostojnie pięknem.

Z kolei zmartwychwstał tak Ilion, Alexandra W. dalej już w Europie, w Grecyi, stolica Agamemnona, Mykeny, dalej Tiryns, Orchomenos, a wszędzie znajdowano skarby, nietylko w przedmiotach sztuki, w przedmiotach rozjaśniających wiedzę historyczną, ale wręcz w wartościach realnych, w klejnotach, w naczyniach drogocennych, w złotych zwłaszcza. Spotykano na kościotrupach maski złote, znajdowano szlachetny ten metal w ozdobach, w wyrobach rozmaitych, a Schliemann, jako zamiłowany i uczony starożytnik, tworzył z tego kolekcye, z których czynił dary iście królewskie. Zbiór odkopalisk Troi, wystawiony najpierw na widok publiczny w Londynie, w South-Kensington Museum, został przezeń z monarszą hojnością przesłany do muzeum w Berlinie; kolekcją wykopalisk z Mycen ofiarował dla Polytechniki ateńskiej; znaczny zbiór wykopalisk, poczynionych w Orchomenos złożył w Konstantynopolu w muzeum bizantyńskim. To, co pisał, ma nie mniejszą wartość dla naszej wiedzy starożytnego życia, starożytnej cywilizacji ludzkości. Do ważniejszych dzieł jego, tłomaczonych niemal na wszystkie europejskie języki z niemieckiego oryginału, należą: „Itaka, Peloponez i Troja“, „Trojańskie starożytności“, „Mycena“, „Ilios“, „Orchomenos“, „Tiryns“, „Troja“—ostatnie już w 1886 r. napisane dzieło. Dodać tu potrzeba, że do angielskiego przekładu „Troj“ Gladstone napisał wspaniałą przedmowę.

Umierając, zostawił po sobie żonie i dzieciom, których miał dwoje, nietylko sławne imię, ale i majątek ogromny. Zona jego jest Greczynką; poznał ją i pokochał za drugą swą bytnością w Atenach, i dla niej-to zapewne uczynił sobie z Grecyi ojczyznę, a tak ze wspomnień męża, o niej, jak i z tego, co głosi wieść publiczna, wnioskować można, że jest to kobieta szlachetna, takiego serca i umysłu, jaki powinna posiadać towarzyszyca życia wyższego mężczyzny. Piękna bardzo, jest zarazem niepospolicie wykształconą, z sercem i wyobraźnią gorącą. Poswatała ich obok pięknych jej oczu *Iliada*, którą umie ona całą na pamięć. Schliemann spotkał ją najpierw w ogrodzie gdzieś w okolicach Aten, i powiedział komuś z przyjaciół, że zobaczył żywą Flore; ale lepiej się stało, że było inaczej, że to była Andromacha, tkliwa, słodka, wierna kobieta, która dała mu za kosztować tego szczęścia serca, bez którego życie, tak mężczyzny, jak kobiety, nie jest pełnem—nie jest szczęśliwem. W zbudowanym przez Schliemanna w Atenach pałacu, stylu doskonale starogreckiego, całe jedno skrzydło jest przeznaczone na zbiory, które i obecnie zwiedzać może zawsze każdy podróżnik, każdy uczony, a niejeden zapewne, stanawszy tu pod marmurowymi kolumnami perystylu przypomni sobie, że tak całemu temu gmachowi, jak szlachetnym pracom, szlachetnemu kierunkowi pięknemu, podniosłego żywota dała początek jedna kartka starej książki—jeden obrazek, który wzruszył serce, uskrzydlił wyobraźnię młodą. Co to jest za siła wrażenie... co to jest za siła wyobraźnia, gdy natchnienie szlachetne przyjdzie ją wzruszyć i porwać za sobą górną jak Jupiter-orzeł—Ganimeda!

M. Ilnicka.

HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg).

Sierpień.

„Na jesieni co krok, to kęs“,—powiada przysłowie ludowe.

Tego roku wszystko szczerze obrodziło i sprzęt dał Bóg pogodny.

Pełne były stodoły i odryny, napełniały się komory, każdy syt był chleba.

Wieczorami wieś całą obejmował stukot żaren, cepów i praców, któremi kobiety obijały lniane siemię z lnu.

Gdy zupełna noc zaszła, wtedy daleko szły poszronnej rosie jęklliwe—długie tony surm pastuszych,—owego grania jesieni.

Powoli rzedniały zielone osłony drzew, nabierając gorących tonów. Wszystko oddało owoc, nawet chwasty sterczały brunatne, rozrzucając po ziemi białe puchy nasienia, lub czepiając się kolcami, by przetrwać, wzgardzone, a uparte.

Czerniały liście, kraśniały kaliny, jarzębiny, głogi—ginęła pasza, odlatywało ptactwo, a po polach, tak gwarych i barwnych, sochy pokrywały sterczące ściernice i bydło błąkało się przebiegle rycząc.

Zbiegały się dnie, a wydłużały noce chłodne; ziemia jakby zasypiała; niebo osuwało się nad nią, tracąc barwę i czystość.

Rozpoczęły się siewy. Zasiał pierwszy najstarszy gospodarz z Hrywdy, Sawczuk, bo rękę miał szczęśliwą, i on pierwszy skończył i słomą ostatni zagon potrzasał.

A za nim inni sieli i ową garść słomy rzucali na zagon, kończąc, bo tak obyczaj kazał.

Tak trzeba było, żeby Bóg, co będzie leciał i siewy święcił, miał gdzie stopę postawić i spocząć na złotej suchej słomie, a nie na roli twardej. Kobiety posłały lny na łąkach, zdjęły wełnę z owiec, poczęły kopać kartofle. Twarze ludzi miały wyraz zadowolenia i karczma się ożywiła, bo każdy miał co przepić i o czem gadać w coraz dłuższe wieczory.

Nawet bór oddawał plon, rydze i grzyby, czerwone brusznicę i żurawiny znosili pastuszki do chat, barcie oddały miody, leszczyny, orzechy.—Co krok, to kęs brał człowiek od swej karmicielki—matki.

Pewnego dnia Karpina Huc z wozem pełnym zboża zajechał pod wiatrak dworski, do mlewa.

Młynarza nie zastał, więc lejece na drzewo zarzucił i pobiegł po niego.

Nie znalazł w chacie, więc zmitrężył szmat czasu, szukając.

Tymczasem dróżyną podle wiatraku przechodził Tychon Czyruk, na plecach niosąc wiewiórkę na ryby.

Tłuste kasztany Karpiny zlekły się owego czarnego kosza, poczęły uszami strzydz i szarpać. Zabawiło to parobka—nastraszył umyślnie.

Tedy zerwały konie lejece i poczęły latać w koło młyna, zaczepiając wozem o zapory, rwąc uprzęż i łamiąc wóz.

Tychon się temu przyglądał ze złośliwą przyjemnością, a wreszcie połakomił się na porządny rzemienny półszorek; obejrzał się: czy go kto nie widzi, konie zatrzymał, uprzężą się obładował i uciekł oplotkami.

Bardzo daleko chłop jeden szedł za broną i ledwie jak punkcik czerniał, ale chłopskie oczy bywają wysmienite, zresztą, jak okiem zarzucić, nikogo więcej nie było.

Uciekł tedy Tychon ze swą zdobyczą, kasztany rozbiły wóz i, zaplątawszy się wreszcie, stanęły, ogłupiały.

objęły całą wieś z końca w koniec, rosnąc do bajecznych rozmiarów.

Ktoś opowiadał, że widział Prytulankę o świecie na „Jana“, naga i z włosami rozpuszczonymi obiegającą wieś trzy razy. Inny widział ją na łące z rzeszotem, jak objęła, naprzemian to manę, to rosę, powtarzając „to mnie“ ilekroć ukruszyła manny — „to tobie“ ilekroć strąciła rosę.

Ktoś trzeci przysięgał, że zastał ją kiedyś w chlewie Huców, jak udoiła szkopek mleka z zawieszoną u belki uzdy. Wreszcie ktoś czwarty widział, że czyniła to samo, pociągając frendzle ręcznika.

Teraz jasnym się stało: z kąd szedł dostatek i obfitość u Huców i dlaczego szanowano Prytulankę u nich? Ściagała-bo im tak wszystko — sztukami. Tak, a nie inaczej. Że Huce nie pili, nie kradli, nie próżnowali, że jeden pracował dla wszystkich, a wszyscy dla jednego, zgodni, skrzętni, stateczni — to głupstwo, bez owego rzeszota i zagadkowych wyrazów; że krowy na dworskich pastwiskach syte, jeszcze wieczorem cały rok karmiono obierzynami, trawą, lub brahą w zimie — to głupstwo bez owej uzdy i ręcznika; że ta stara cicha kobieta, na oczach wszystkich zbyła żywot mrówczy i nieskazitelny, nie rzekłszy nikomu złego słowa, nawet wtedy, gdy ją wyzyskiwano całe lato, a precz wyrzucano z chaty na zimę — to nic: wiedźmą została i wiedźmą umrze, otoczona nienawiścią, wzdardą i zabobonnym strachem. Doszły wreszcie te słuchy, to posądzenie do samej Prytulanki.

Rzuciła jej to brutalnie w twarz kobieta jakaś, którą przylapała w ogrodzie na kradzieży kapusty.

Kobieta zapłakała gorzko, żałośnie i opowiedziała rzecz całą swym gospodarzom.

— Ja już to słyszał we wsil — rzekł stary Korniło.

— I ja! — dodał Matwiej.

Zresztą wszyscy milczeli i nie patrzali na nią.

Prytulankę to milczenie jej towarzyszek i Karpiny zabolalo, jako wiara w pogłoskę. Po patrzyła po nich, jakby czekając słowa, a wreszcie poczęły jej się trząść ręce, drzeć usta, zabiegać łzami, coraz nowemi, oczy. I tak płakała, podczas gdy wszyscy jedli, coraz, to po nich spoglądając, a za matką rozplakała się Olenia, i tak raz pierwszy siedziały wśród tej rodziny, z nagłą opuszczonymi się czując, wzdardzonemi, samotnemi.

Po wieczery różeszli się wszyscy do zwykłych zajęć.

Machinalnie Prytulanka wzięła sierp, a Olenia płachtę; poszły na rzepak dworski po zielsko.

Płakały, nic do siebie nie mówiąc, ale tak się znały, że bez słów powzięły jedno postanowienie.

Już wracały, obładowane, gdy stara rzekła:

— Dużo ty, doniu, masz kwitów do kassy!

— Dużo, maty!

— To ty je oddaj zaraz Karpinie i poproś, żeby jutro przy rozplacie je podał.

— Dobrze, maty.

— Bo nam, doniu, trzeba będzie ztąd iść!

— Oj, maty! — jęknęła dziewczyna.

— Trzeba, doniu. Ty słyszała, że mnie wiedźmą zrobili, a oni milczą, bo im wstyd przemennie.

Znaczy, ja kamienia warta, a nie chleba! A może oni i wierzą co ja taka! Cała wieś wierzy! To mnie jednakowo — hańbę ja miałam od młodości, głód ja miałam, chłód miałam, naga byłam, sina byłam, mnie już mało trwać! Ale tobie, doniu, nie jednakowo, tobie nie być wiedźmą córką: to tobie zakawa, taj wstyd, ciebie nikt tutaj nie weźmie za taką matkę.

To ja ciebie zabiorę i daleko poprowadzę. Staniem gdzie na służbę: gładkaś, letnia, weźmie cię kto za twoją robotność, a ja tymczasem umrę; taj słuch ten zginie: kto ja, jaka ja, z kąd ja, a ty się czysta ostanieś.

(Dalszy ciąg nastąpi).

FRYDERYK SZOPEN

Jako człowiek i artysta.

Czytelnicy nasi wiedzą z listu korespondenta angielskiego o wyszłem w Londynie dziele Fryderyka Niecksa, zawierające najobszerniejszą ze znanych nam biografją Szopena, połączoną ze studjami jego utworów, z ich charakterystyką, w której czytelnik znajduje zarazem odzwierciedlenie stanu ducha jego twórcy w chwili tworzenia i historją tego momentu jego życia. Ten sposób traktowania dziejów twórczości artystycznej, literackiej, przedstawia najdoskonalszą ich metodę, zwłaszcza wobec natur takich, jak Szopen — gorących, szczerých, tworzących nie z danych umysłu, z wyobraźni, z fantazyi artystycznej, ale z czystego złota uczuć, z prawdy wewnętrznej istoty. Korespondent angielski donosi, że Niecks dla doskonalszego wnuknienia w istotę Szopena: dla doskonalszego zrozumienia wpływów, które urabiały mu duszę, nauczył się popolsku, historją naszą studiował, w Krakowie był: trzeba też jego książkę — dwa grube tomy *in octavo* w rękę mieć, i przeczytać uważnie, aby zrozumieć, jak pracowicie, starannie, z jakim pragnieniem nieopuszczenia niczego, co jest uwagi godnem, rzecz ta napisaną została.

Zaraz w przedmowie przedstawia autor swoje uczciwe poglądy na obowiązki biografja: „Romanopisarz posiada za pełną swobodę poddania się swoim instynktom artystycznym, ale biograf jest silnie związany przedmiotem, który opracowywa. Tamten nie potrzebuje nakładać cugli żadnych, na chęć swoją idealizowania przedmiotu; ten zaś powinien zadawał się kopromissem pomiędzy tem, co byłoby pożądanę, a tem co jest obowiązujące. Wolno mu dany materyał jako własność swoją uważać, doszukiwać się nim formy najdoskonalszego piękna i wnioski, jakie chce, stawiać; ale nie godzi mu się nigdy bez ciężkiej krzywdy przedmiotu, bez ciężkiego grzechu samowoli prawdziwie się przeniwierać“. Skoro biograf nie uważa sobie za obowiązek dowiedzionej prawdy się trzymać i nie widzi w tem rządzącego nim prawa, cała wartość pracy jego przepada, i z tego też punktu widzenia czyni Niecks przegląd krytyczny wszystkiego, co było o Szopenie pisanem.

Pierwsze studjum o Szopenie wyszło z pióra Liszta w 1851 r.; nie jest to przecież praca dość poważna, aby krytyk sztuki, sztuki historyk mógł na niej polegać. Mało tam jest materyału konkretnego, a więcej poezyi i gólosłownych zachwyków. Sand też, która w sądach swoich musiała tu być sztucznie powierzchowną i według naszego przysłowia wykręcać się sianem, scharakteryzowała ją jako „nieco wybujałą pod względem stylu, lecz pełną rzeczy dobrych i kart bardzo pięknych“. Ale księżna Wittgensteinowa, która w czasie, gdy rzecz była tworzoną, mieszkała w Weimarze i dostarczała też Lisztowi materyału, pisała następnie do autora z Rzymu, aby zrobił drugie, poprawne wydanie książki swojej, co przecież nie dodało jej gruntowności.

Przedmiot jednak budził takie zajęcia, że monografia Liszta tlómaczona na angielski i niemiecki.

Naszą pierwszą, obszerniejszą pracę o Szopenie jest wydana w Poznaniu 1873 r. książka A. M. Szulca „Fryderyk Szopen i utwory jego muzyczne“. Niecks widzi w niej zbiór dorywczych, bez planu i myśli przewodniej gromadzonych anegdot, krytyk, uwag z polskich, francuzkich, niemieckich pism i książek, lecz należy tu zwrócić uwagę, że jednak to wszystko czyta i rozbiera i nie tylko tytuł dziełka popolsku pisze, ale naszą ortografią w nazwisku autora zachowuje, co powtarza się w całej jego książce: doskonała ortografia, doskonała budowa zdań i przy dłuższych cytatach z autorów naszych. Gdy w kilka lat potem, w 1877 r. wychodzi z pióra Karassowskie-

go w dwóch tomach ponemiecku napisana książka „Fryderyk Chopin, jego życie dzieła i listy“, tlómaczona wkrótce na język angielski, Niecks czyta ją zaraz i rozbiera, czyni autorowi poważny zarzut traktowania przedmiotu nie dość krytycznie i według zasłyszanych wieści różnych, ale za to podnosi o wiele wyżej przez tegoż autora napisane, nakładem Gebethnera i Wolfa w 1882 w Warszawie wydane dwutomowe dzieło: mieszczące zbiór nigdzie dotąd drukiem nie ogłoszonych listów Szopena do Fontany: „Fryderyk Chopin, Życie, Listy, Dzieła.“ Widać zatem że zna wszystko, co o Szopenie się pisze, i sądzi też z kolei książkę angielską, jak z nazwiska przypuścić można: M-me Andley, po francuzku napisaną i w Paryżu w 1880 r. wydaną, a która zdaje się być przeróbką niemieckiej edycyi książki Karassowskiego.

W 1886 r. wyszła w Paryżu przez hr. Wodzińskiego po francuzku napisana i w Paryżu u Calman Levy wydana książka nieduża „Les trois romans de Frédéric Chopin“. Są to dzieje trzech miłości poety — dzieje jego trzech ukochań: Konstancyi Gładkowskiej, Maryi Wodzińskiej i Sand. Rzecz ta, znana już czytelnikom naszego pisma w streszczeniu dość obszernem, trzymana jest w tonie powieściowym; przecież krytyk angielski, badacz poważny nie opuszcza i tego, rozbiera, sądzi, przyznaje książce wartość większą nad niejedną z wyższego tonu traktowaną pracę o Szopenie, bo widzi tu doskonalsze niż u innych autorów uchwycenie jego charakteru, jego poetyczności i jego uczuciowości. I jest tak wciąż ze wszystkim, co tylko o Szopenie napisano. Wszystko Niecks czyta, wszystko sądzi. Po angielsku pisane dzieła, broszury, życiorysy Benneta, Hopkins'a, Hueffer'a, i to, co Sand pisze: w „Histoire de ma vie“ i „Correspondance“ — wszystko ulega rozbiorowi. Pisze też w przedmowie do dzieła swego, że badań tych celem było zebrać jako materyał wszelkie wiadomości z zakresu „historycznych, politycznych, artystycznych, towarzyskich i osobistych wpływów i okoliczności“, które oddziaływać tu mogły, i wylicza długi szereg ludzi znajomych, przyjaciół uczniów Szopena, których poszukiwał i z którymi się zetknął, lub wszedł w korespondencję, od których coś otrzymał: wiadomość o zdarzeniu jakimś, szczegóły, rys charakterystyczny. Jest też w przedmowie umieszczony szereg nazwisk długi.

Zbiór listów Szopena, posiadanych w odpisie, także niemały, i benedyktyńska to iście praca, przed którą głowę schylił trzeba. Obok tego czytali i te listy, które Karassowski w polskiej edycyi dzieła swego umieścił, a tak mu o to chodzi, aby i nikt omyłki tu nie popełnił, że u końca wstępnego rozdziału podaje, jak według francuzkiego wymawiania należy czytać zamieszczone w książce nazwiska polskie osób lub miejscowości.

Zdaniem jego żaden mistrz tak doskonale jak Szopen charakterystyki powszechności swojej w utwory sztuki uprawianej nie wcielił i dlatego jest on tak doskonale oryginalny. Wszystko bierze z głębi własnej, z tego co mu się z przyrodzenia dostało. Związek natury ojczyściej ze sztukmistrzem jest według Niecksa wielki, nietylko przez wpływy fizyczne. Wrażenia jej urabiają jego zmysł piękna, dają twórczości jego koloryt, dają jej skłonności pewne, i nie myli się pod tym względem. Siła talentu jest mu dana, ale na rozwój jego, na kierunek duży wpływ wywiera otoczenie — to, co z zewnątrz działo, co ukochaniem się staje. Dlatego też Niecks, chcąc tu znać dobrze tło i wpływ, języka naszego się nauczył; dlatego czytał wiele pamiętników, kronik, bo i historją uważa tu za jedną z sił działających. Czytał, poczynając od Rulhiéra; zna Rzewuskiego „Pamiętniki Soplicy“, Mickiewicza „Pana Tadeusza“, zna co Jerzy Forster, profesor nauk przyrodniczych w Wilnie w 1784 r. o nas pisał, nie pomija nawet karykatury, którą Heine w uszczypliwych żartach podaje, i jest w tem niejedna rzecz dla naszego czytelnika ciężko przykra, jest mimo wszystkich starań i najlepszych chęci niejedno

z punktu obcego widzenia sądzony i ztąd nie tak pojęty, jak odczuwają ci, o których pisze. Podnosi on wysoko i cnoty, które tradycyjnymi nazywa, a kobietom wyniosłe miejsce wśród społeczności naszej daje. Następuje szkic historyczny rodziny Szopenów, której przodka wyprowadza z Lotaryngii, przez służbę u króla Stanisława Leszczyńskiego z naszym społeczeństwem złączonego, i dopiero po tak pracowitym wstępie, dla czytelnika obcej narodowości mającego być podstawą pod posąg Szopena, starannie, z wielką miłością, z wielkiem uszanowaniem wznoszony, przystępuje do kreślenia historii jego życia i prac, dzieł które po sobie zostawił.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Ze znalezionych kartek.

(Dalszy ciąg).

D. 6-go Lutego.

Wanda wróciła wczoraj ze spaceru, na który się obie z baronową wybrały, świeża, różowa, słiczna.

We włosach miała ledwie rozwiniętą wonną gałązkę pomarańczowego kwiatu, drugą, taką samą, przypiętą u stanika.

Wróciła w jakimś niezwykłym usposobieniu. W oczach jej grały dziwne złotawe połyski; usta uśmiechały się co chwila; czoło było okryte zadumą. Uściskała mnie z uniesieniem.

— Dlaczego państwo siedzicie w pokoju? — mówiła do mnie i do Gucia — dzień taki piękny! Chodźcie do ogrodu odetchnąć powietrzem, ogrzać się na słońcu.

Zakreśliła się po pokoju, nucąc, potem usiadła do fortepianu i palce jej zaczęły błędzić po klawiszach, nie składając żadnej melodii.

Gucio przypatrywał jej się bacznie.

— Uwważaj — szepnął mi, podnosząc się — będziemy mieli zabawną scenę.

Przystąpił do Wandy, prosząc ją, by coś zaśpiewała, ale napróżno: Wanda nie była usposobiona do śpiewu. Po długich naleganiach ustąpił.

— Nieubłaganą pani jesteś — rzekł — wiadomo jednak, że gdy się odmawia jednej łaski, drugiej zato udzielić należy. Uszczęśliwi mnie pani tą gałązką pomarańczowego kwiatu. Czy mogę prosić o nią?

Wanda była zdruzona towarzystwem i słowami człowieka, którego sam widok wstręt jej sprawiał usiłowała jednak dać mu wesołą odprawę.

— Panie hrabio, żeby otrzymać kwiat od kobiety, trzeba nań pierwej zasłużyć.

— Wskaż mi pani sposób zdobycia jej względów, a uchwycę go się natychmiast.

Wanda uśmiechnęła się złośliwie. Jej łaskę mógł on sobie tylko nieobecnością swoją zaskarbić.

— Sposobu wskazywać nie mogę, domyślić go się trzeba.

— Więc mam odejść z niczem?

— Bez tego kwiatu w każdym razie.

— A gdybym pani zaręczył, że szczęście mego życia od tej gałązki zależy?

— Nawet w takim razie odpowiedź moja nie byłaby inną.

— Doprawdy?... Godzi mi się zatem przypuszczać, że chyba ten kwiat ma w oczach pani jakąś niezwykłą wartość. A że gdy chodzi o damy i kwiaty, jednego tylko domyślać się można, więc nie omylę się zapewne, gdy powiem, że z tą gałązką, której pani nikomu powierzyć nie chcesz, wiąże się nieoceniony dar serca?

Tutaj Guccio powiedział ciszej słów parę, których dosłyszeć nie mogłam.

Wandzie rumieńce trysnęły na twarz, oczy zapłonęły gniewem.

— Otóż mylisz się pan bardzo. Nie nikomu, lecz tylko panu oddać jej nie chciałam!

To rzekłszy, odpięła kwiaty od głowy i stanika i położyła obiedwie gałązki przedemną. Widziałam, że przytem lzy zakreśliły jej się w oczach. Odeszła do okna i spoglądała bezmyślnie na terras. W końcu, nie mogąc znieść utkwionych w nią szyderczo oczu mego kuzyna, wyszła gwałtownie z pokoju.

— Guciu, co znaczyła ta scena, dlaczego jej się sprzeciwiasz?

— Doprawdy, Anielko, podziwiam ufność twoją. Zamykasz oczy na wszystko, czego widzieć nie chcesz.

— Co rozumiesz przez to?

— Trudno mi tłumaczyć ci to. Niepodobna także uwierzyć, abyś nie wiedziała o czem mówię. Wszak to jasne i dla całego otoczenia widoczne.

— Nie rozumiem cię i insynuacji twoich słuchać nie myślę.

— A gdybym ci dostarczył dowodów?

— Dowodów? — dziękuję ci za opiekę nademną; zabraniam nawet wprost zajmować się mną i memi sprawami.

— Ha, przekonasz się kiedyś, że miałem słuszność.

Dnia 10-go Lutego.

Dziś Wanda, niemając widać na kogo wylać wezbranych uczuć swoich, zaczęła odrana ścisnąć mnie i całować. Czego ona chce odemnie? Oni oboje od jakiegoś czasu otaczają mnie tkliwymi dowodami miłości. Miałam ochotę powiedzieć jej: Pozwólcie mi się nienawidzić swobodnie, niechaj krople słodocy nie mieszają się do złości, bo tym sposobem smak całego napoju jeszcze obrzydliwszy.

Ale słowa wzięły mi w gardle. Wysunęłam się z jej objęć. Nie całuj mnie — powiedziałam — możesz zarazić się suchotami.

Sprawiło to na niej przykre wrażenie, boć ja dla spokoju udaję, że nie znam mego stanu. Z niezręczną dyplomacją troskliwych osób unikają wszyscy wymówienia wyrazu tego wobec mnie.

Ach, jak mnie to wszystko drażni! Nienawidzę ludzi, a najbardziej z nich siebie!

D. 11-go Lutego.

Nienawiść, zazdrość jakież to nikczemne uczucia! Do czego ja zeszedłam! Gdy sobie przypomnę pięcioletnią dziewczynkę, przez której głowę tyle cudnych marzeń przelatywało, której serce takie było kochające, tak na niedolę ludzi czułe, że płakała na widok każdego nieszczęścia, każdej lzy, i porównam ją z tą kobietą o zranionej duszy i chorem ciele, niewierzącą w nic i nienawidzącą wszystkich, to widzę, iż największą krzywdę wyrządzono mi tem właśnie, że mi tak duszę wykrzywiono, że mi wydarto z niej miłość i wiarę, że mi zabrano moje uczucia młode, ludzkie, moje pragnienie dobrego.

A kogo ja o to obwinę!

Doprawdy, ludzie, którzy wierzą w Boga, nie znają prawdziwej rozpacz.

Rozpacz dopiero u mnie się zaczyna.

Oni w chwili buntu mogą powiedzieć Temu, co tam wysoko nad nimi, milionem gwiazd w oczy im świeci: „Jesteś niesprawiedliwy dla mnie“.

Ale do kogo ja krzywić będę: „Skrzywdziłeś mnie. Oddaj mi to, co było mnie, oddaj mi lata dziecinne; daj mi to, co wszystkim dajesz“?

I komuż ja to powiem, kiedy ja tam nad sobą czuję pustkę straszną, a w sobie niezmierny ból! I choćbym wmówić w siebie chciała, że On tam w tych szafirach ma tron swój, to nie przekonam samej siebie, nie zaludnię pustki, którą czuję wyraźnie.

Więc kto winien memu nieszczęściu? Nikt. Co na nie poradzić można? Nic.

Ze wszystkich rzeczy, które istniały dla mnie dawniej, teraz istnieje tylko ból. W niego wierzę.

Wiem, że są ludzie, co potępiliby mnie za moją niewiarę i skazali na męczarnie piekielne. Chciałabym bać się piekła. Kto wierzy w piekło, wierzy i w niebo.

Cóż ja winna, że nie wierzę?

Przypominam sobie, miałam czternaście lat, gdy pierwszy raz otworzyła się nademną ta otchłań zwątpienia — otworzyła się nagle. Jednego dnia wieczorem modliłam się jeszcze gorąco z egzaltacją szczerą i prawdziwą. Drugiego o tejsamej porze uczułam, że to wszystko są legendy, złote bajki, dobre do kołysania dziecinnej wyobraźni. Dotąd zdumiewa mnie, jak nieświadomie ten proces myśli odbywał się we mnie, że rezultat jego jak piorun uderzył w gmach moich wierzeń i jak piorun go zdruzgotał. W tejsamej chwili pojęłam także, iż odtąd nie będzie już dla mnie szczęścia na ziemi, że duch mój, pozbawiony tej podstawy, nie przyczepi się do żadnej słabej gałązki filozoficznych rozumowań, nie poślubi żadnego systematu, ale zawisnie, tak jak potępieniec, nieświadomy początku i końca swego.

Ogarnęła mnie chwila przed nieością. Nie wierząca, padłam krzyżem, prosić tego dawnego Boga mego, żeby mi wiarę powrócił. Ale jakże miał powrócić, kiedy go już nie było!

Odtąd zaczęłam tracić siły. Zbyt wielki ciężar spadł na moje czternaście lat. Góra zwątpienia zwała mi się na plecy, przygniotła bujne rośliny entuzjazmu, pragnień szlachetnych, poświęceń uadłuzkich i t. d. Teraz wśród tej nicości sama jestem niczem, ale wierzyć — nie mogę!

Dnia 18-go Lutego.

Dziś rano wszyscy wybrali się na spacer, ja byłam bardzo zmęczoną, więc zostałam w domu i nawet na balkon przejść nie miałam ochoty. Błąkałam się po pokojach, nie smutniejsza niż zwykle, ale jakaś bardziej odrętwiała.

Przypadkiem wpadła mi w rękę księga Ewangelii. Otworzyłam i zaczęłam czytać. Pierwsze miejsce, na które padł mój wzrok było: „Onego czasu ukazał się znowu Jezus u Morza Tyberyadzkiego. A ukazał się tak: Byli społem Symon Piotr i Tomasz zwany Dydimus i Nathaniel który był od Kany Galilejskiej, i synowie Zebedeuszowi i drudzy dwaj z uczniów Jego. Rzekł im Symon Piotr: Idę ryby łowić. Rzekli mu: Idziem i my z tobą. I wyszli i wsiadli w łódź, a onej nocy nic nie ułowili. A gdy było rano, stanął Jezus na brzegu, jednak nie poznali uczniowie, że był Jezus. Rzekł im tedy Jezus: „Dzieci a macie ryby?“ Odpowiedzieli mu: Nie. Rzekł im: „Zapuscicie sieć po prawej stronie łodzi, a znajdziecie“. Zapuscili tedy, a już nie mogli jej ciągnąć dla mnóstwa ryb. Rzekł tedy uczeń on, którego miłował Jezus, Piotrowi: „Pan jest“.

Coś jakby ciepły wonny wiatr powiało wkoło mnie. O, złote czasy!

Ten poranek judzki, nad brzegiem jeziora cudowna postać Zmartwychwstałego, i ten uczeń ukochany, wieczny w oczekiwaniu mistrza stęskniony, pierwszy odczuwa jego obecność i mówi towarzyszom: „Pan jest.“ Choć Ewangelia tego nie opowiada, ja czuję wzruszenie tego marzycielskiego ducha. W tych dwóch słowach jest radość, i to radość podwójna: wyznawcy, który widzi, że ideał jego jest prawdziwy, i człowieka, który osobistym ziemskiem uczuciem ukochał tę mglistą zaświatową postać.

Chora myśl moja buja i najdziwniejsze zatacza kręgi.

Usiłowałam wcielić się w tego umiłowanego Chrystusowego ucznia, w tego natchnionego młodziana o długich, na ramiona spadających włosach. Miałam hallucynację prawie. Zdało mi się, że ja także rybitwa, jak tamci, że idę w noc ciemną zarzucać sieci w głąb Tyberyadzkiego Morza, a w szary mglisty poranek ukazuje się „On“. Idzie taki cichy, łagodny święty, a jednak inny jakiś, niż przed zgonem swoim. Mnie smutno jest, wiem że głowa moja nie spocznie już na jego ramieniu, jak wówczas przy wieczerzy.

On teraz już czemś więcej niż dawniej: On Bogiem!

Przejęta wzruszeniem, mówię towarzyszom „Pan jest.“

Ach ile jest poezji w tych prostych opowiadaniach, przez prostych ludzi skreślonych!

Niegdyś, w dzieciństwie, inne to na mnie sprawiło wrażenie.

W rzeczach, które się uważa za święte, świętokradztwem jest upatrywać poezję. Wtedy też nie widziałam jej.

A jednak ja z moją niewiarą, ja Ciebie, błądy cieni Judel, chorą duszą moją kocham gorącej chyba, niż ci co nigdy nie zwątpili o Tobie.

I wiecznie tosam niezaspokojone pragnienie: Czemu nie przyszedł na świat w owych legendowych czasach?! Czemu ja dzieckiem tych szarych kupieckich dni?!

Pani! jeżeli bym i wtedy nie miała wiary, to przecież miałabym miłość, i dla tej miłości, możebyś mi darował winy moje.

Ze snu tego wyrwał mnie tentent kopyt końskich. To Janusz i Wanda wracają ze spaceru.

Dnia 20-go Lutego.

Synek lady Douglas umarł. Nie wspomniałam tu o nim zdaje się ani razu. Jedyna to była istota, która do mnie jakiś pociąg czuła, i ta już rozwiła się we mgłę, i jej już niema.

Poszłam zanieść wianek na jego trumienkę. Matka klęczała przy zwłokach dziecka. Dziwna kobieta: miała ten sam marmurowy spokój na twarzy, co zwykle.

Dnia 25-go Lutego.

Ciocia półsłówkami, dwuznacznymi spojrzeniami usiłuje dowieść mi, że narzeczony mój zdradza mnie dla mojej kuzynki.

Jak ta kobieta rozdrażnić mnie umie!

Wczoraj siedziałyśmy we trzy na werendzie. Naraz Ciotka zagadnęła niespodziewanie:

— Panno Wando, pani bardzo lubi różę, nieprawdaż?

Dziewczyna podniosła na nią pytający wzrok.

— Rzeczywiście, lubię bardzo wszystkie kwiaty.

— Ale różę bardziej, niż inne?

— Nie umiem pani hrabinie na to odpowiedzieć: każdy kwiat piękny, gdy świeży.

— A jednak widziano panią wczoraj, jak z narażeniem życia stąpałaś nad samym brzegiem parowu, byle ułożyć olbrzymi bukiet z białych róż.

Wanda zmieszana się nieco.

— Oh, z narażeniem życia! — odpowiedziała po chwili, — niebezpieczeństwo to odmalowano pani hrabinie w jaskrawszych kolorach, niż było istotnie. Co najwyżej, można było podrapać sobie ręce o kolce tych krzewów. Żadne inne niebezpieczeństwo nie groziło mi.

— No, i w dodatku nie dowodzi to wcale jej zamilowania do róż—wtraciłam—gdyż tylko na moją prośbę i dla mnie wybrała się przed wieczorem po te kwiaty. Proszę cię, Wandeczko, przynieś ten bukiet: upaja mnie woń róż.

Usiłowałam mówić swobodnie, ale ja już tak mało nad nerwami swymi panować mogę. Bo istotnie: poco Wanda o siódmej wieczorem, chodziła o pół mili angielskiej od domu, kiedy tyle róż nakoło znaleźć można?

Uważałam jednak, że odpowiedź moja niemłą była Cioci, to znaczy, że rozwiłałam jej podejrzenia. Ale mnie, mnie znowu ostry kolec wbity w piersi! Jakże ci ludzie mnie dręczą!

Dnia 8-go Marca.

Kilka dni temu siedziałam na werendzie z książką w ręku i myślałam, że tam w tej porze ciężka jeszcze zima zapewne, zawieje, śnieżyce, zawieruchy, mrozy, a tu taka wiosna, taki zapach fijołków w powietrzu!

Niespodziewanie wszedł Guccio i, obejrzawszy się naokoło, jakby dla upewnienia się: czy mnie samą zastaje, oddał mi zwiniętą kartkę listowego papieru.

— Dotrzymuję danej kiedyś obietnicy—powiedział tryumfującym głosem i wyszedł natychmiast.

Zostałam sama z tym bilecikiem w ręku i pomimo uroczyściej min Guccia, nie czułam żadnej ciekawości przeczytania go.

Ja tak mało wagi przywiązuję do słów i uczynków mego kuzyna.

Myśl moja długo jeszcze błądziła w poprzedniej sferze, kąpała się w białości śniegów północnych, w chłodnym podmuchu mroźnego wietru, i nie pilno jej było wracać między fijołki i róże.

Machinalnie prawie rozwinęłam oddaną mi kartkę.

Były tam następujące wyrazy, skreślone ręką mego narzeczonego:

„Wola Twoja niech się stanie we wszystkim, tylko mi zamień słowo „żegnaj cię“ na słowo „do widzenia“. I jeszcze jedna łaska, o którą prosić nie śmiem. Niechaj to słowo osobiście usłyszę. Krótkie były chwile naszego szczęścia. Pani! racz je choć o jedną godzinę przedłużyć.“

Nieszczęśliwy i winny J. M.

Zrobiło mi się gorąco, potem bardzo zimno, i znowu gorąco. Uczułam krew napływającą do serca, do płuc, do ust. Potem zamroczyło mi się w oczach i nie czułam już nic. Czemuż się już wtedy wszystko nie skończyło?!

(Dokończenie nastąpi.)

NOWINY PARYŻKIE.

d. 31 Stycznia 189 r.

Wielka zima. — Ogólny stan cierpienia. — Nędza i troski za radę. — Gdzie jest węzeł kwesty pauperyzmu? — Bogaćtwo kraju i ubóstwo pewnych warstw jego ludności. — Ostatnia pożyczka 900 milionów, pokryta szesnaście razy. — Ilość i wartość złożonej przedpłaty. — Czego dowodzi to bogaćtwo? — Ciężkie straty. — Oktawian Feuillet i Baron Hausmann; wspomnienia pośmiertne. — Nowiny teatralne: *L'obstacle* (Przeszkoda), dramat Alf. Daudet'a — *Thermidor*, dramat Wiktoryna Sardou. — Zawierucha z powodu przedstawienia tej sztuki w Teatrze Francuzkim. — Rząd zabrania dalszych przedstawień. — Sprawa w izbie poselskiej. — Sprawa kryminalna Władimirowa, przed sądem przysięgłych. — Wyrok.

(Dokończenie.)

Na pierwszym miejscu zapiszmy śmierć Oktawiusza Feuilleta. Rok temu podałem wam jego tak miłą i grzeczną odpowiedź na zapytanie co do jego powieści, ostatniej, niestety! „Honor artysty“, — a oto dziś trzeba zapisać tu jego pośmiertne wspomnienie. Zostanie on na zawsze jako jeden z najlepszych pisarzy powieści we Francji, w drugiej połowie XIX-go wieku. Tytuł ostatniego jego utworu może służyć za epigraf dzieł jego: *Honor artysty*; był on artystą pióra, w całym tego wyrazu znaczeniu — artystą w stylu poprawnym i jasnym, artystą w uczuciu piękna i zacności, artystą co do układu. A przytem wszystkim miał jeszcze to wielkie i odrębne znamię, że nie przekroczył nigdy granic tego, co Francuzi nazywają *la bonne compagnie*. Jego hrabiowie i hrabianki — to są rzeczywiście i prawdziwie osobistości „z dobrego towarzystwa“, a nie przybłędy z łoży odźwiernego albo i z gorszych jeszcze załków. Strata Feuilleta dla tych zalet rdzennych jego pióra jest prawdziwie nieodżałowana.

Wśród tylu a tylu ofiar należy wspomnieć jedną z najwybitniejszych osobistości ostatniego Cesarstwa: dnia 11-go Stycznia nagle zmarł tu Baron Hausmann.

Dawniejszy prefekt departamentu Sekwany, zbyt ważne zajmował on miejsce w swym czasie, aby w kilku słowach przynajmniej nie zostawić o nim pamięci na tych ulotnych kartkach kronikarskich. Dostyć będzie powiedziec że „*Wielki Baron*“ jak go tu nazywano z ironią, był przez lat siedemnaście, od 1853 do 1870 r. Vice-Cesarzem Paryża, który przebudował i uczynił takim, jakim go widzimy dzisiaj. Spełniał on rzeczywiście trudny obowiązek wszędzie, a trudniejszy tutaj, jakby głównego i Centralnego Burmistrza Paryża.

Mąż Stanu o poglądach szerokich i śmiałych, odrzucił wszystkie propozycje zajęcia polity-

cznego stanowiska, bo te zdawały mu się niezgodnymi ani ze stanowiskiem, jakie zajmował, ani z podjętym zamiarem przebudowania Paryża, któremu się cały poświęcił.

Miał on wielu nieprzyjaciół, co jest naturalną rzeczą, kiedy się zajmuje bardzo długo takie miejsce, na jakim stał baron. Ale trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że nie ustąpił ani na krok, stwierdzając swoje przywiązanie do drugiego cesarza i drugiego cesarstwa, z którym razem dopiero upadł, już po spełnieniu swego zadania. Ktokolwiek pomyśli bezstronnie, jak to trudną jest rzeczą przebudowanie jednego domu, a potem rozważy, iż ten jeden człowiek, ten Hausmann, przebudował całe miasto — i jakie miasto! — Paryż — ten zgodzi się ze mną, że zapewne nie w podniosłej najwyższej sferze, ale w każdym razie atletycznych sił było potrzeba, aby takie brzemie przez lat tyle na barkach swoich unosić.

Ostatnie swe lata poświęcił pisaniu pamiętników, których ostatnie kartki miały wyjść z druku w ciągu tego miesiąca. Spieszył się, pracował ciągle, jak, gdyby przeczuwał blisko swój koniec. A przecież Baron Hausmann ciągnął lekko za sobą już osmdziesiąty drugi rok życia. Słusznego wzrostu, trzymał się prosto i sztywno. Twarz jego, sucha, koścista, przeciągła, o wydatnych policzkach, o szerokim czole, miała ten wyraz powagi i spokoju, jak dawniej, jak w epoce największej potęgi. Dziś są jeszcze wspomnienia i okoliczności, które nie pozwalają jego współziomkom oddać całej sprawiedliwości temu człowiekowi, ale przyjdzie czas, kiedy patrząc na to miasto, zalanie słońcem i światłem, opatrzone we wszystko, co potrzeba dla bytu i życia wygodnego, przechodzeń zatrzyma się wobec postaci barona i powie: „Zasłużyłeś na wdzięczność — *Sit tibi terra levis*“.

Pokazuje się, że zawsze tu jeszcze tańczymy na wulkanie.. i że wszystko może się stać pozorem, aby ludzie najskrajniejszych opinii, i najskrajniejsze dzienniki uderzyły na gwałt, wywołując bunt i starcia..

Mamy tego świeżuteńki dowód z powodu dramatu p. Sardou'a. Od 28 b. Stycznia, w naradach rządowych, w kurrytarzach Izby poselskiej, w gabinetach ministrów, w Teatrze Francuzkim — wszędzie słyhać jedno tylko: „Dramat pana Sardou“ i zabronienie przedstawienia sztuki pod tytułem *Thermidor*: tytuł szumny i znaczący więcej, niż ten dramat.

Ale nim przystąpimy do tej palącej kwesty — mamy obowiązek, idąc za porządkiem rzeczy, powiedzieć tu naprzód słów kilka o innej nowości teatralnej, która, dzięki przyjacielom autora, okrzyczana naprzód jako arcydzieło -- dziś już zapomniana jest prawie — jakgdyby to się działo przed potopem Noego!..

Mowa tu o dramacie Alfonsa Daudet'a. „Przeszkoda“ (*L'obstacle*). Z wielu produkcji tego pisarza jest to może najslabsza. Wyrosła na gruncie idei tendencyjnej rozwiązania kwesty socjalno-psychologicznej, nie strzela ona tą bujnością fantazyi i humoru, które stanowią tak cenne przymioty tego pisarza.

Sztuka odpowiada — niestety, niestety! — na to pytanie: Czy istnieje rzeczywiście dziedziczność i atawizm? i czy spadkowe zboczenie moralne, jest dziedzicznym pewnikiem?.. Jest to zarazem, jakby odwrotna strona tego założenia, które niedawno poruszył Ybsen w jednym ze swych dziwnych i oryginalnych dramatów...

Aby rozwiązać to zagadnienie, Daudet wprowadza na scenę dwoje zakochanych — i kiedy wszystko zdaje się im sprzyjać i kwieciami uścielać drogę do ołtarza... w cieniu powstaje złowroga postać i groźne ponad nimi wyciąga ramiona. Jest to opiekun panny, sławny prawnik, ale zakochany nie mniej w swojej pupilce od młodego pretendenta do jej serca i ręki, i aby usunąć wszelkie zapory, podnosi tę główną przeszkodę, że ojciec narzeczonego umarł w domu obłąkanych i że wskutek atawizmu choroba ta będzie zapewne dziedziczną.

Jako antydot na ukąszenie tej gadziny, autor stawia obok młodego desperata matkę jego, która aby zażegnać groźące jej synowi niebezpieczeństwo, rzuca się na *dziwny pomysł*: daje mu

do zrozumienia, że Persefona podzieliła się jabłkiem granatu z Plutusem. Jakkolwiek Daudet obronę tą owinął w piękną frazeologią, publiczność jednakże nie przyjęła tej obrony za dobrą i dała to uczuć zaraz na pierwszym przedstawieniu sztuki. Rzeczy układają się przecież i po ciężkich próbach, jak zwykle w romansach, cnota zostaje uwieczniona — młodzi mają się pobrać; bo obłąkanie zmarłego ojca było wypadkowe — późniejsze od urodzenia syna — a zatem precz z opiekunem zdracą! Niema dziedzictwa ani atawizmu, jest tylko wesele. Niech żyją państwo młodzi!

Taką jest w ostatecznym wyciągu fabuła *Przeszkody*. Entuzjizm przyjaciół, doskonała gra aktorów Teatru Gymnase, i tu i owdzie piękne sceny, pięknym oddane stylem, dopełniły reszty, i powodzenie materialne zyskały dla sztuki; ale nie mogły jej dać tego, czego sam autor dać jej nie zdołał.

Sporna sprawa dziedziczości, zawsze jeszcze stoi na porządku dziennym: — Ani Ybsena za, ani Daudeta przeciw, nie dowiodły niczego, każdy bowiem wypadek ma swoją własną prawidłowość. Sądząc powierzchownie, nie łatwiejszego, jak być w zgodzie z Schopenhauerem; nie łatwiejszego, jak synowi złodzieja wyrobić heraldyczne następstwo od ojca złodzieja i t. d. Ale dowieść tego naprzód trudniej jest daleko, a idąc do takich niższych konsekwencji — dziedziczość bezpośrednia i pośrednia, przeskakująca jedno pokolenie (atawizm) stawia mrzonkę niepewną, jak każde przypuszczenie, a jako zasada jest ona wręcz niebezpieczną!

To chyba jasne.

Ale wracamy teraz do sławnego „Termidora“: Jako pomysł i układ, dramat p. Sardou nie jest o wiele lepszy od „Przeszkody“ p. Alf. Daudeta; majędnak tę wielką zaletę, że jako sztuka teatralna w przedmiocie samym a nawet i tytule — jest drażliwą i ciekawą czytelnika i słuchacza. Jest to rzecz główna, zapalić wyobraźnię publiczności i obudzić ciekawość tłumu. Autor „Rabagasa“ i „Ojczesz“ jest arcy-majstrem w tym względzie i dlatego przeciwnicy jego darować mu nie mogą, że im zbrudził, jak się wyraził poseł Clémenceau z mównicy, czystość rewolucji.

Układ i pomysł tego dramatu jest najslabszą stroną dzieła. Za to szczegóły, pojedyncze sceny, piękne docinki w akcji i w słowie, nadają mu wybitne znaczenie w literaturze i na scenie.

Przedmiot jest bardzo prosty, fabuła krótka, tło: terroryzm w historii Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Niejaki Marceyalis Hugon, major artylerji, przybyły za urlopem do Paryża — stara się wydrzeć gilotynie Fabianne Lecoulteux, narzeczoną swoją, a znajdującą się na liście naprzód potępionych ofiar przez komitet *du salut public*. W tem usiłowaniu walecznemu żołnierzowi dopomaga niejaki Lubussière, archiwista i mający w swem ręku rejestra ofiar komitetu.

Powiedzmy zaraz, że zabiegi tych dwóch pocziwych ludzi — pomimo upadku Robespierre'a, w dzień 9 Termidora, *alias* 27 Lipca 1794 roku, nie odnoszą żadnego skutku: Fabianna ginie na rusztowaniu, a Martial zostaje zabity przez żandarma — w chwili, kiedy się chciał oprzeć wyprowadzeniu z więzienia de la Conciergerie nieszczęśliwej kochanki.

I nie mogło być inaczej. Tych troje biednych i nieznanymi nikomu ludzi — w tej straszliwej otchłani, która codziennie przez rok cały dyktatury Robespierre'a pochłaniała wszystko, cokolwiek było najznakomitszego we Francji — była to niewinna sielanka i musiała koniecznie utonąć w tej bezdni okrucieństwa i rozpusty.

Wprowadzać więc tak błahą intrygę do tak przerażającego swoim ogromem obrazu, było rzeczą niestosowną i przeciwną wszelkiej biegłości artystycznej. Ale Sardou liczył zapewne na swój niezrównany talent kolorysty — i musiał powiedzieć sobie, że chociaż w dramacie niema żadnej z tych wielkich potężnych figur Rewolucji, czy ze strony tryumfujących, czy zwalczonych — przedstawienie udać się musi przecież,

dzięki oslepiającemu blaskowi barw i niesłychanej biegłości talentu pisarza.

Tak się też stało w istocie; a chociaż niema tu żadnej z tych piorunujących obelgą i zniewagą *dyatrib* teatralnych — Sardou przez samo umiejętnie zestawienie scen i sprzeczności otrzymuje ten efekt, który wydarł p. Clémenceau owo zeznanie publiczne: że „Termidor“ zbrudził im czystość nieposzlakowaną Rewolucji.

Na drugim więc przedstawieniu tej sztuki bracia i kolledzy i potomkowie ducha sławnych owych przewodźców terroryzmu zrobili manifestacyą i pod wodzą słynnego członka komuny Lissagarray'a, dziś posła w Izbie, wygwizdali i zakrzyczeli sztukę wystawioną na scenie. Wyparci na ulicę — przyjęli gwizdaniem i obelgą spokojną część publiczności, wychodzącą z teatru bez manifestacyi oburzenia.

Zręcznie ukryci poza tą krzykliwą zgrają główni przewodnicy radykalizmu, korzystając z tego pozoru, że *Théâtre de la Comédie Française* pobiera subwencją rządową — i pod pozorem, że to może zakłócić spokojność publiczną — otrzymali od rządu rozkaz zabraniający dalszych przedstawień „Termidora“. Dodać tu należy, iż przedstawienie tej sztuki otrzymało pierwej upoważnienie formalne cenzury t. j. ministra oświaty i ministra spraw wewnętrznych.

Kiedy wskutek powyższego zajścia „Termidor“ stał się owocem zakazanym — wtorkowi abonnenci Teatru Francuskiego, gdy im oświadczone zmianę programu z konieczności, powstali jak jeden i odmówili wysłuchania molierowskiego „Świętoszka“ — domagając się jednogłośnie „Termidora“. Był to głos wołający na puszczy. Abonnenci, jako ludzie spokojni i niemający świstawek w kieszeniach, rozeszli się, sarkając tylko na sprawców tej niegodziwej i nierepublikańskiej turbacji.

Wytoczono tedy sprawę pod sąd Izby Deputowanych. Była to czysta komedia. Kilku obitych komunardów wyprowadziło na mównicę zamilkłą już oddawna postać p. Clémenceau, który swoim zwyczajem, jak tu powiadają, wsadziwszy nogi w półmisek, zagał rzecz w tych słowach: „W tej chwili należy mówić krótko a węzłowato. Rewolucya jest to wielka bryła, której nie można rozkruszać na piasek — a my nie pozwolimy, aby ją nam kalano.“

A więc z całej tej awantury stało się — że zakazanego tu „Termidora“, będą grać u was, i wszędzie z powodzeniem, a tymczasem Izba przeszła do porządku dziennego nad tym zakazem.

Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

Serce.

Serce spełnia w organizmie jedną z najważniejszych funkcji. Zadaniem jego jest rozprawdzać krew po całym organizmie, co też uskutecznia bezustannie od pierwszej do ostatniej chwili życia. Jest to właściwie jedyny organ, który nie odpoczywa ani na chwilę, pracuje zarówno podczas czuwania, jak i w czasie snu.

Chwilowe osłabienie jego czynności powoduje zemdlenie, a kompletne zaprzestanie działania śmierć natychmiastową. Ta ciągła czynność serca sprawia, że rozwija się ono bezustannie i jeżeli tylko nie nastąpią zaburzenia w jego czynności, siła serca wzrasta stopniowo, niesłabnąc z wiekiem.

Jakkolwiek serce samo przez się nie jest wrażliwym na bodźce zewnętrzne, pomimo to wszelkiego rodzaju wrażenia odebrane przez mózg oddziałują bezpośrednio na to centrum krążenia, a co raz objawia się przyspieszeniem, kiedy indziej zwolnieniem cyrkulacji krwi. Oddziaływanie to miewa miejsce, nie tylko skutkiem bodźców psychicznych, takich jak radość, przestrasz, albo

uczuć tego rodzaju, jak miłość; i wpływy fizyczne, wszelkiego rodzaju: zmęczenie, grzechy dyetetyczne, zwłaszcza nadużycia w napojach wysokowych i w paleniu tytoniu, oddziałują na serce i to w sposób bardzo wyraźny. Przyjemne wzruszenia i wzniosłe uczucia, umiarkowane zmęczenie i nieznaczne pobudzenie serca, wzmacniają go i uszlachetniają; przeciwnie zaś przykre wrażenia i wyczerpujące wysiłki wpływają szkodliwie, co oddziaływać musi na ogólny stan zdrowia.

Nie podlega wątpliwości, że istnieje znaczna liczba chorób serca wrodzonych, t. j. że dziecko przychodzi na świat z wadą serca, skutkiem wadliwego rozwoju tego organu w łonie matki; nie ulega również wątpliwości, że często odziedzicza się po rodzicach usposobienie do choroby sercowej; daleko częściej jednakże wydarzają się one skutkiem nabycia, a do czego prowadzi z jednej strony niehygieniczny tryb życia, z drugiej zaś nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Rozumie się, że te ostatnie wpływy działają daleko łatwiej i szybciej na osoby z wrodzonym usposobieniem do choroby sercowej, aniżeli na takie, które go nie posiadają. Wynikiem zaś tego bywa, jak powie dzieliśmy, przyspieszenie, albo zwolnienie cyrkulacji krwi; zanim jednakże powiemy obszerniej o przyczynach chorób sercowych i o środkach higienicznych, przyjrzymy się pokrótce budowie serca, i w jaki sposób z jego pomocą odbywa się krążenie w organizmie.

Ponieważ anatomowie są bez serca, proszę im zatem wybaczyć prozaiczny opis tego organu, którego nie posiadają!

Serce — powiada prof. Hirschfeld — stanowi narządzie środkowe krążenia krwi, tworzy mocny worek mięśniowy o czterech przedziałach, służący za ujście lub miejsce wyjścia licznych pniów naczynnych. Serce wysyła przez tętnice krew do wszystkich części ciała, a odbiera ją za pośrednictwem żył.

Waga serca wynosi około 10 uncji, a więc cokolwiek mniej, niż funt. Posiada ono kształt stożka podstawą zwróconego ku górze a wierzchołkiem ku dołowi. Obejmuje cztery przedziały, z których dwa stanowią komórki, a dwa przedsiionki, utworzone przez dwie przegrody, jedną pionową, drugą poziomą. Pierwsze dają początek tętnicom i stanowią główną część; drugie zaś są rodzajem przyległości komórek, stanowiąc zatoki położone przy ujściu żył i służą za odbieralnik krwi wracającej z ciała do serca.

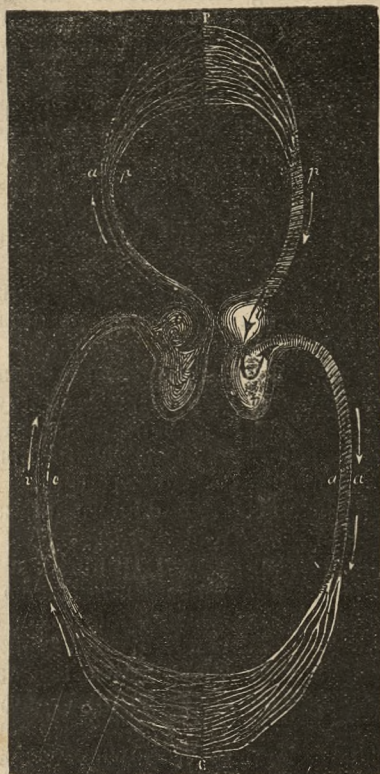
Komórki wraz z przedsiionkiem każdej strony stanowią jakby dwa odrębne do siebie przylegające serca, ztąd też rozróżniamy serce *prawe* czyli *żylnie* i *lewe* czyli *tętnicze*. W pierwszym zbiera się krew czarna czyli żylna, w drugim czerwona. Każdy przedsiionek komunikuje z odpowiadającą komórką za pośrednictwem otworu opatrzonego w zastawkę, prócz tego, jak powiedzieliśmy, z komórek wychodzą tętnice, mianowicie z lewej aorta, rozprawdająca krew po całym organizmie, a z prawej tętnica płucna, przez którą krew udaje się do płuc.

Zanim powiemy o krążeniu krwi, nadmienić jeszcze wypada, że serce działa jak pompa ssąco-tłocząca t. j. wygania krew i wchłania ją, a to uskutecznia się, nie przy pomocy tłoków, lecz wskutek kurczenia się i rozluźniania mięśnia sercowego, które stanowią to, co nazywamy *bi-ciem serca*.

Dla nabrania ogólnego pojęcia o krążeniu krwi, przyjrzymy się krwi, gdy wychodzi z komórki lewej. W tej chwili jest ona jasno-czerwonego koloru i zawiera w sobie pierwiastki odżywiające i odżywcze. Podąża, wypędzona siłą skurczu serca, do aorty, najgrubszej tętnicy w organizmie, która, ścięncząc się stopniowo i rozdzielając na coraz ścieńsze gałązki, zasila wszystkie części organizmu: głowę, kończyny, wnętrzości i t. p. Krew dobiegłszy przez owe gałązki zwane *tętnicami*, przenika do tak zwanych *naczyń włoskowatych*, których ścianki są tak cienkie, że krew przychodzi prawie w bezpośrednie zetknięcia z otaczającą je tkanką, a zasiliwszy ją w materiał odżywczy, zabiera zużyty, przechodzi do innego rodzaju naczyń krwionośnych, zwanych *żyłami* i wlewa się do serca prawego. To jednakże jeszcze nie wszystko. Krew, skutkiem oddania części

pożywnych i przyjęcia zużytych, staje się ciemną i niezdatną do odżywiania tkanek, taką jest w żyłach i w komórce prawej. Ażeby odzyskała na nowo niezbędne własności, zachodzi potrzeba zeknięcia się z powietrzem atmosferycznym, to zaś odbywa się w płucach. Dla tego też owa krew ciemna z prawej komórki za pośrednictwem tętnic płucnych wpędzana jest do płuc, wchłania z powietrza tlen, a wydziela produkta zużyte i za pośrednictwem żył płucnych powraca do komórki lewej, a więc do punktu wyjścia.

Krażenie krwi odbywa się z taką szybkością, że cząstka krwi na przebycie całego krwioobiegu potrzebuje 23 do 25 sekund. Drogę, jaką krew przebywa z lewej komórki przez cały organizm do prawej, nazwano wielkim krwioobiegem, a małym tę, jaką przebywa z komórki prawej przez płuca do lewej.



Wielki i mały krwioobieg.

Krew wyszedłszy z lewej komórki serca (v), przebiegłszy tętnicę (a, a), naczynia włoskowate (c) i żyły (v, c) (wielki krwioobieg) udaje się przez tętnicę płuca (a, p) do płuc, przebiega tam drobne naczynka (p) i powraca do serca przez żyły płuca (v, p) (mały krwioobieg).

Opisaliśmy ogólny obraz krążenia krwi. Do tego dodamy jeszcze tylko, że w sercu i głównych naczyniach znajdują się zastawki, tamujące powracanie krwi do serca, co wszystko razem stanowi prawdziwie cudowny przyrząd, z którym żadne sztucznie zrobione nie mogą iść w porównanie.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że przepisy przeciwko fałszowaniu produktów spożywczych będą niebawem zatwierdzone przez radę państwa.

— Ogród Botaniczny oraz zagajnik wzorowy ma być urządzony w pobliżu Askabadu, w obwodzie zakaspijskim, we wsi Kassi. Ma tam zaraz powstać szkoła ogrodnicza i jedwabnicza z celem rozszerzenia przemysłu jedwabniczego.

— Uczczenie pamięci zasłużonego człowieka, ś. p. Korotyńskiego, przez wzniesienie na mogile jego pomnika staje się już faktem pewnym. Z wiosną zostanie obrane miejsce na grób, do którego złożone będą zwłoki i na którym pomnik ten się wzniesie. Myśl pierwszą rzucił poczciwiec Andriolli i na jego też ręce i p. M. Gawalewicz należy przesyłać składki. Obliczono, że na zakupienie ziemi na grób, wymurowanie go i skromny pomnik, wystarczy 400 rs. Redakcja „Gazety Warszawskiej“ i jej współpracownicy składają rs. 75.

— Koncert na pomnik dla Moniuszki przyniósł czystego dochodu 2,431 r., które inicjator tej sprawy Mierzwiński, złożył w depozycie Banku Handlowego. Kwestya pomnika rozstrzygnięta zostanie wkrótce, skoro Mierzwiński będzie mógł się tem zająć.

— Prof. Gerson maluje obraz: „Królowa Ryxa“. Rozmiary płótna są niewielkie.

— Wspólka artystyczna, która urządziła stałą wystawę na Nowym Świecie, pod nazwą Salonu Artystycznego, podaje w sprawozdaniu dorocznym, iż dochód wynosił 14,580 rs., wydatki 14,316, zatem remanent na rok bieżący przedstawia 364 rs. Delegacją artystyczną na rok b., tworzą: Gerson, Alchimowicz, Mirecki, Pillati, Wastkowski i p. Kotarbińska.

— Redakcja *Wszczęświata* urządza wystawę wynalazków. Rzecz warta jest poparcia i zainteresowania się nią publiczności.

— Wystawa okazów etnograficznych zebranych przez podróżnika Nestorowicza w Argentynie, Ziemi Ognistej i Patagonii pomieszczona została w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.

— Henryk Siemiradzki przesłał nabywcy swego obrazu „Chrystus i Samarytanka“ hr. Jerzemu Dunin Borkowskiemu, kilka pięknych reprodukcji fotograficznych dzieł swoich. Znajdują się w tej liczbie fotografie nieznanego nam jeszcze tego obrazu „Powrót z uroczystości Bachu-

sa“. Na tle greckiego krajobrazu rozrzucone są grupy, powracających do domu czcicieli wesolego bożka. W cieniu drzew rozłożystych widać świątynię, a światło przedstawia czy świt poranny, czy lunę zachodu, co reprodukcya poznać nie daje. Obraz w oryginale ma 1 metr długości, 55 centymetrów wysokości.

— Spór o miejsce umieszczenia pomnika Mickiewicza w Krakowie toczy się dotąd nie rozstrzygnięty ostatecznie. Hr. Konstanty Przędziecki już niemal sam jeden upiera się przy postawieniu go na wylocie ulicy Sławkowskiej. Magistrat został dla żądań tych zjednanym, ale nie jest tak z Radą Miejską. Wszyscy członkowie kommisji budowy pomnika, stanowiący liczebnie połowę Rady Miejskiej, postanowili przedstawić teje Radzie wniosek żądający, aby udzieliła wręcz odmownej odpowiedzi żądaniom tych, którzy chcą przez postawienie pomnika na miejscu pobocznym, usunąć go z najpokaźniejszej widowni miasta. Dodano tu życzenie, aby pomnik stanął w Rynku Głównym.

— Od początku Marca ma wychodzić w Krakowie miesięcznik poświęcony literaturze, sztuce i pięknym i teatrowi. Komitet redakcyjny składają: Borsztejn, Dobrowolski, Ehrenberg, Hösick i Tetmayer.

— Trzęsienie ziemi, które nawiedziło Algier w Styczniu, było w skutkach swoich bardziej niszczącym w dalszych okolicach. Wioska Guraya została niemal zniszczoną, przyczem wiele ludzi poniosło śmierć lub ciężkie obrażenia. W Philippeville cały dom jeden gwałtownie runął, grzebiąc w gruzach swoich dwoje dzieci, raniąc przytem wiele osób. W Villebourgu pięć domów runęło podobnie, zabijając i raniąc mieszkańców. Podobne szkody i nieszczęścia działy się w Bli-dach, w Medeah i Orléanville.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 15-ty powieści pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevensona, przekład z angielskiego.

Encyklopedia Ilustrowana MEDYCYNY i HYGIENY

POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana

przez

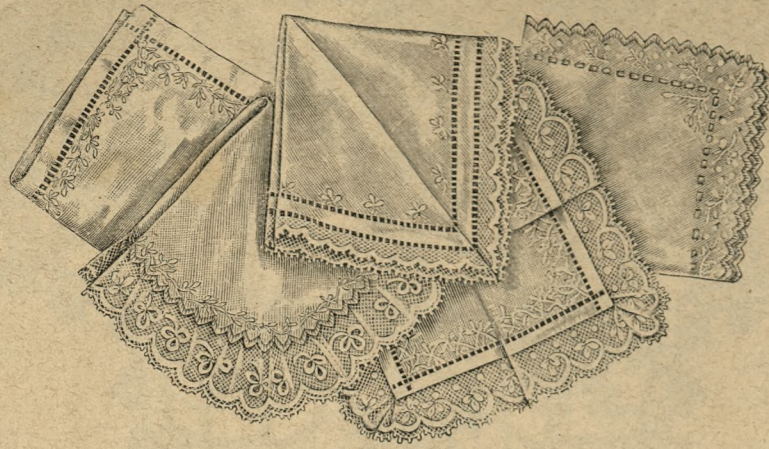
Józefa Starkmana

Zeszyt XX-ty wyszedł z druku i zawiera między innymi: **Polowanie, połykanie, pomada, pomarańcze, pomoc publiczna, pończochy, poród, posiłek, pot, potas, potrawka, powieki, powietrze, powonienie, powozy, poziomki i t. p.**

Cena zeszytu kop. 30. Poczta 36. Najwygodniej z prowincji nadsyłać po rs. 2 na raz. Wszystkich zeszytów będzie 30. Dla płacących z góry za całe dzieło: rs. 8, pocztą rs. 9.50. Do odebrania i do nabycia u M. Orgelbranda na wprost pomnika Kopernika i we wszystkich znaczej-szych księgarniach.

TREŚĆ: Henryk Schliemann, przez M. Ilnicką. — Hrywda. Powieść, przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Fryderyk Szopen jako człowiek i artysta. — Ze znalezionych kartek (dalszy ciąg). — Nowiny Paryżkie (dokończenie). — Wiadomości z higieny i medycyny popularnej. Serce, przez Dr. Józefa Starkmana. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 15-ty powieści, pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae** przez Roberta Ludwika Stevensona, Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 22 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.



Nr 3—7 Chusteczki do nosa batystowe.

i ze wstążki atlasowej koloru różowego 6½ centymetrów szerokości, wykonany na podstawie z petynетки. Na ułożenie koronki podług ryciny potrzeba dwa końce koronki 200 centymetrów długości.

Kołnierz (robotą szydelkowa).

Rycina Nr 10 i 19. Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 31).

Kołnierz, którego rycina Nr 10 przedstawia



Nr 9. Czepeczek z koronki i wstążki.

część oryginalnej wielkości, wykonany szydelkiem, cienkimi krętymi niemi koloru „crème.“ Złożony z mniejszych i większych gwiazdek wykonanych oddzielnie i łączonych pomiędzy sobą powietrznymi oczkami. Większe gwiazdki wykonać jak następuje: * 6 powietrznych oczek, dwa razy naprzemian: 1 pikot czyli 4 powietrzne oczka i 1 ściśle łańcuskowe oczko w oczko znajdujące się przed 4 pow. ocz., 4 powietrzne oczka, potem powracając na poprzednich oczkach, następne oczko opuścić, dwa razy naprzemian: 3 ściśle oczka w następne 3 oczka, 1 pikot, 4 ściśle oczka i 1 ściśle łańcuskowe oczko w następne 5 powietrznych oczek, od * jeszcze 7 razy powtórzyć, na koniec 1 ściśle łańcuskowe oczko w 1 oczko gwiazdki. Małe gwiazdki wykonać każdą jak następuje: * 4 powietrzne oczka, dwa razy naprzemian: 1 pikot, 3 powietrzne oczka, potem na poprzednich oczkach powracając, następne oczko opuścić; 2 razy naprzemian 2 ściśle oczka w następne 2 oczka, 1 pikot, 2 ściśle oczka i 1 ściśle łańcuskowe oczko w następne 3 oczka, od * jeszcze trzy razy powtórzyć i podług ryciny Nr 10 łączyć gwiazdki mniejsze z

Nr 8. Czepeczek ranny z koronki i wstążki.

Chusteczki batystowe do nosa.

Rycina Nr 3—7.

Chusteczki z batystu zdobne haftem, koronką, obrąbkami z pojedynczą lub podwójną mereszka lub też dziergane. Wielkość chusteczek od 25 do 33 cen. w kwadrat.

Czepeczek ranny z koronki i wstążki.

Rycina Nr 8.

Czepeczek wykonany na podstawie z tiulu 24 centim. długości, z przodu 7 centim. szerokości, dalej zaś 1 centim. szer. otoczonej wążką jedwabną wstążeczką. Główka 28 centim. w kwadrat nieco po rogach zaokrąglona ze wstążek koronkowych 5 centim. szerokości i teje szerokości wstawki dziurkowanej, przez którą przewieszona wstążeczka niebieska atlasowa. Brzegi i przód przybrany koronką 6 centim szer. Kokardy z wstążki niebieskiej atlasowej.

Czepeczek z koronki i wstążki.

Rycina Nr 9.

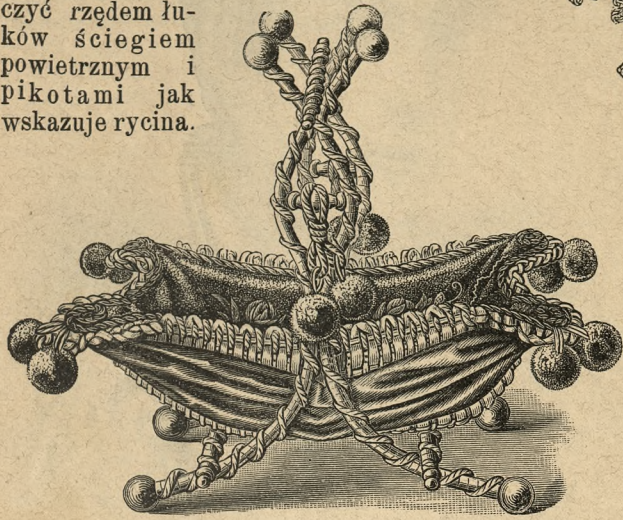
Czepeczek z koronki 11 cent. szer.



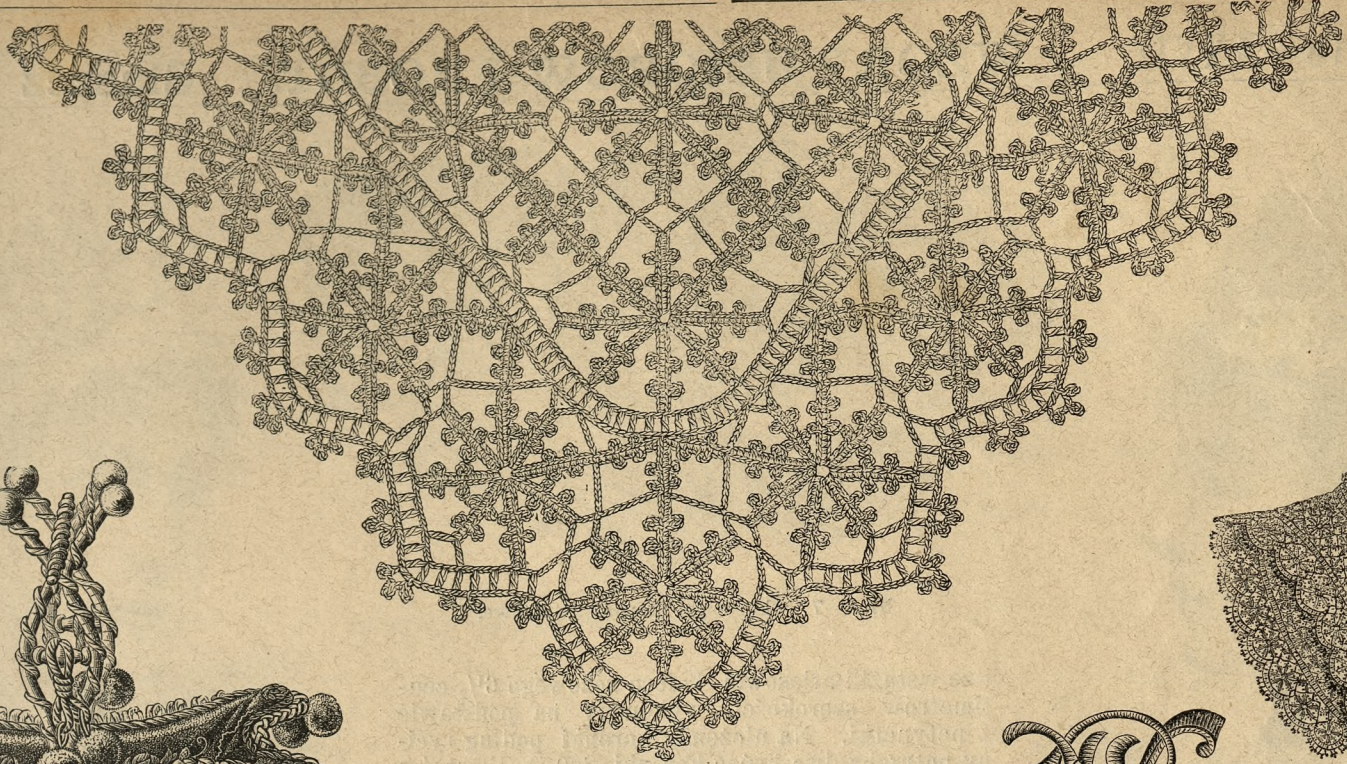
Nr 1. Suknia z bengaliny i aksamitu. (Opis pierw. str. tabl.).

Nr 2. Suknia z kaszmiru. (Opis pierw. str. tabl.).

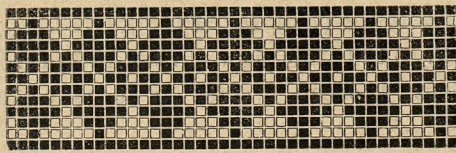
większymi. Po wykończeniu potrzebnej ilości gwiazdek i po ułożeniu takowych podług formy fig. 31 wykonać rząd powietrznych łuków a następnie wykonać koronkę z gwiazdek podług ryciny sposobem wyżej wskazanym, otoczyć rzędem łuków ścięciem powietrznym i pikotami jak wskazuje rycina.



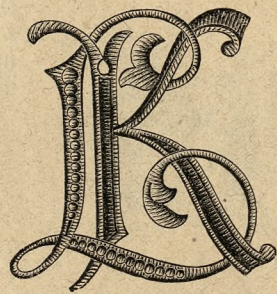
Nr 11. Koszyk do robót.



Nr 10. Część kołnierza wykonanego szydełk. (do Nr 14).



Nr 12. Szlaczek do ozdoby fartuszków, serwetek i t. p. (robota krzyżowa).



Nr 13. Monogram.



Nr 14. Kołnierz (robota szydełkowa do ryc. Nr 10). Deseń pierw. str. tabl. Nr V, fig. 31.

Takież pikotami zakończyć wycięcie szyi.

Koszyczek do robót.

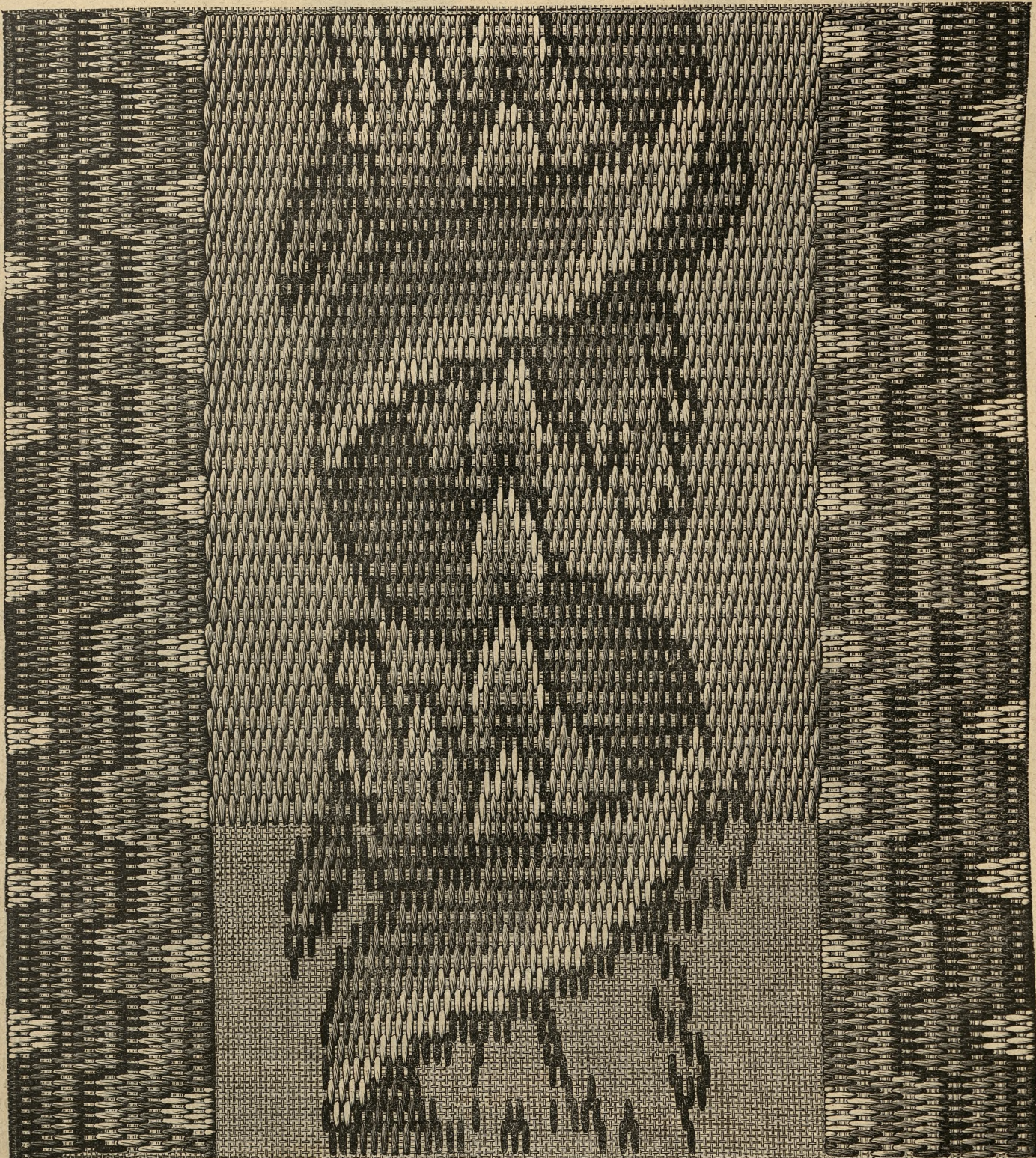
Rycina Nr 11.

Koszyczek z trzciny częścią koloru naturalnego częścią złocony, przybrany pluszem koloru poziomkowego, wewnątrz zaś bają koloru pawiego ozdobioną haftem wykonanym rozmaitego koloru filozelą rozpolowaną. Sznur koloru poziomkowego i pompony jedwabne tegoż koloru wykończają całość.

Szlak na krzesła, poduszki i t. p. (ścieg płaski).

Rycina Nr 15.

Szlak wykonany na tkaninie kanwowej niedzielonej koloru żółtawego, rozmaitego koloru filozelą, przejmując na każdy ścieg 6 nitki tkaniny na wysokość. Szlaczki boczne wykonane w odmiennym kierunku jak wskazuje rycina.



Nr 15. Szlak na krzesła, poduszki i t. p. (ścieg płaski)

Najprzód należy wykonać otoczenie środkowych figur oraz rzędy zębów szlaków bocznych filozelą koloru ciemno-brązowego, następnie figury wstążkowe wypełnić filozelą koloru poziomkowego w 5 cieniach. Figury

pręcikowe wzdłuż środka filozelą brązowego koloru w 3 cieniach, a figury liściowe filozelą koloru oliwkowego w 5-ciu cieniach. Tło zrobić filozelą białą. Część zewnętrzną bocznych zębów szlaka wykonać filozelą jasno-poziomkowego koloru a część wewnętrzną filozelą koloru oliwkowego w 3-ciu cieniach.

Poduszka (ścieg płaski).

Rycina Nr 19 i 22. (Deseń odwr. str. tablicy Nr X, fig. 60).

Poduszka ozdobiona haftem wykonanym na ciężkim jedwabnym materyale koloru poziomkowego sznurkiem złotym, jedwabiami i lnią bawełną. Brzeg poduszki z pluszu fałdowanego koloru niebieskiego, przewiązywany kokardami z wstążki repsowej jedwabnej koloru poziomkowego. Haft wykonać na tkaninie kanwowej niedzielonej, podług figury 22, przedstawiającej część wiel-

kości oryginalnej, żółtą lnianą bawełną, filozelą jasno-niebieską i jasno-poziomkową. Po przeniesieniu deseni fig. 60 i ryciny Nr 22 z uwzględnieniem ryciny Nr 19, wypełniać figury oraz brzegi łukowate, żółtawymi niemi lnianymi i cienkim złotym sznureczkiem, otaczać sznurkiem złotym grubszym, który należy przymocowywać ścięciem niewidocznym. Próżne pozostałe tło zapelniać ścięciem płaskim w połowie filozelą koloru poziomkowego, w połowie pawiego, przejmując tkaninę przez 2 i przez 4 nitki na szerokość.

Fartuszek z atlasu „merveilleux.“

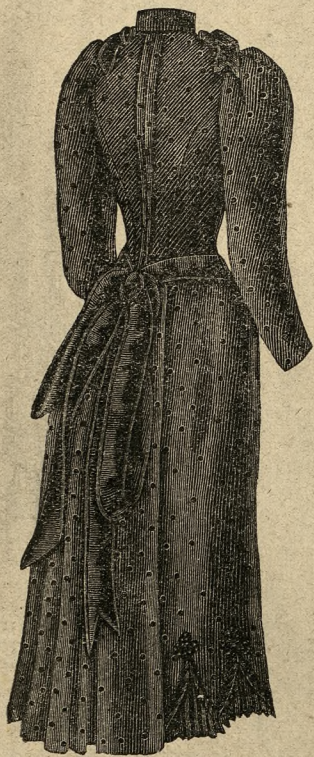
Rycina Nr 3 w Bl. Nr 9.

Fartuszek z atlasu „merveilleux“ koloru ponsowego. Skrajac 65 centim. długą a 100 centim. szer. Wykonać od górnego brzegu zakładki na 40 centim. Dolny brzeg obrabić i ozdobić czarną koronką plisowaną. Część górną zmarszczyć na 20 cent. szerokości i wszyć w pasek podług ryciny 5 centim. szerokości zaopatrzonej podkładem i podszewką. Kokarda ze wstążki morowej 5 centim. szerokości czarnego lub ponsowego koloru wykończa całość.

Fartuszek dla panienki od 9 — 11 lat.

Rycina Nr 8 w Bl. Nr 9. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 59).

Po dopełnieniu złożenia i przydłużeniu w kierunku strzałki (wzór ma długości w środku 74 centim., dolny zaś obwód 154 centim. szerokości), odpowiednio do potrzeby skrajac z satynki białej w deseni fig. 59 jedną część złożoną wzdłuż środka. Przednią część ozdobić podług wskazówek wstawką haftowaną $3\frac{1}{2}$ centim. szerokości, przez którą przewlec wstążkę niebieską 1 cent. szerokości, której końce związane z przodu na kokardę. Następnie ułożyć fałdy trafiając \dagger na kropkę i pokryć szlaczkiem haftowanym 1 cent. szerokości, tak iż sam szlaczek wykończa górny brzeg. Boki ozdobione marszczoną haftowaną falbanką. Obrabić fartuszek w tylnej części węższej, w dolnej zaś na 5 centim. szerokości, na co przy krajanii przypuścić materyału. Do tylnych rogów przyszyć paski 6 centim. szerokości a 58 centim. długości do wiązania na kokardę, także same paski 4 centim. szerokości a 59 centim. długości spinane na guziczki i dziurkę przyszyte na ramionach w miejscach oznaczonych * krzyżują się w tylnej części.



Nr 16. Część tylna sukni (do ryc. Nr 13 w Bl. Nr 9). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 32—42.

Chusteczka z koronki i wstążki.

Rycina Nr 10.

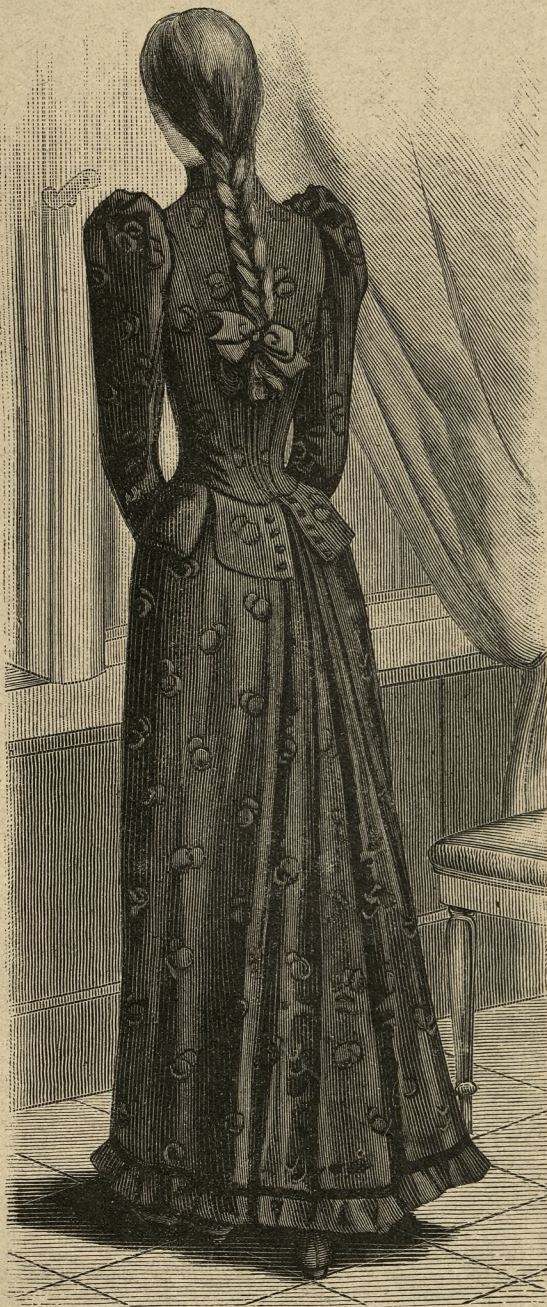
Chusteczka wykonana z wstążki jedwabnej koloru białego 116 centim. długości a 6 centim. szerokości, na której ułożona sposobem wężykowym koronka haftowana 9 cent. szerokości. Białe kokardy wykończają całość.

Przepisy gospodarskie.

Jajka sadzone na occie innym sposobem.

Na 6 jajek czyli na dwie osoby łut bulionu rozgotowanego w półkwatruku wody, wcisnąć w niego pół cytryny lub łyżkę bardzo mocnego winnego octu, pół łyżeczki cukru, kto zaś lubi ze śmietaną zamiast bulionu użyć wody, octu lub cytryny trochę mniej a za to zaprawić sos dwoma łyżkami śmietany i zagotować razem. Wylać ten sos na blaszany srebrny lub porcelanowy półmisek i postawić na gorącej blasze. Jajka włożyć ze skorupkami w gotującą się wodę, przykryć i odstawić z ognia na pięć minut na ciepłe tylko miejsce. Po pięciu minutach wyjmować jajka z wody, zcinać nożem wierzchołek szerszy każdego jajka i wypuszczać je w gorący sos na półmisku, tym sposobem każde jajko doskonale całe wypłynie i ładnie na półmisku się układa. Gdyby były jeszcze zamiękkie, przykryć pokrywą półmisek a dojdą w jedną minutę.

L. C.



Nr 17. Część tylna sukni do ryc. Nr 18. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 49—58).

Wino i ostre trunki podawane dzieciom dla wzmocnienia.

Od pewnego czasu weszło w użycie wzmocnienie organizmu dzieci, za pomocą środków spirytualnych. Otóż naukowe pismo *Fundgrube* w swoich uwagach higienicznych, stanowczy objawia w tej mierze protest utrzymując, że używanie wina i ostrych trunków, choćby w małej ilości przez dzieci, przyczynia się do rozstrojenia nerwów dziecka i chorobliwego stanu wątroby. Wzmocnienie zaś bywa tylko pozornym. *Fundgrube* radzi zastąpić to sztuczne wzmocnienie sił i ciała dziecka sposobami naturalniejszymi i właściwszymi jakimi są: powietrze, ruch, kąpiele i odpowiednie pokarmy a przede wszystkim mleko.

Będąc w tej kwestyi tego samego zdania opartego na doświadczeniu, oddajemy je pod baczną uwagę rodziców.

Doświadczenia praktyczne.

Odświeżenie czarnych glansowanych rękawiczek.

Zmięszać łyżeczkę olejku migdałowego z 6—8 kropli bardzo czarnego atramentu. Mięszaniną tą smarować miękkim pędzelkiem miejsca wytarte czarnych rękawiczek i pozostawić na parę godzin do wyschnięcia na czystym arkuszu papieru.

N. B.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa pomidorowa z ryżem.
2. Paszteciki w konchach.
3. Polędwica z makaronem.
4. Zając z sałatą z kapusty czerwonej.
5. Budyń orzechowy.

KORESPONDENCA.

Odp. pani Maryi D.

Suknia na srebrne wesele powinna być koloru perłowego lub jasno-popielatego, fasonem sukni wizytowej obranej podług gustu własnego z „Bluszczu.“ Na głowę upięcie z koronki z fiolkami lub jakim białym kwiatem byle nie różami. Obrączki albo złączone albo oddzielne.



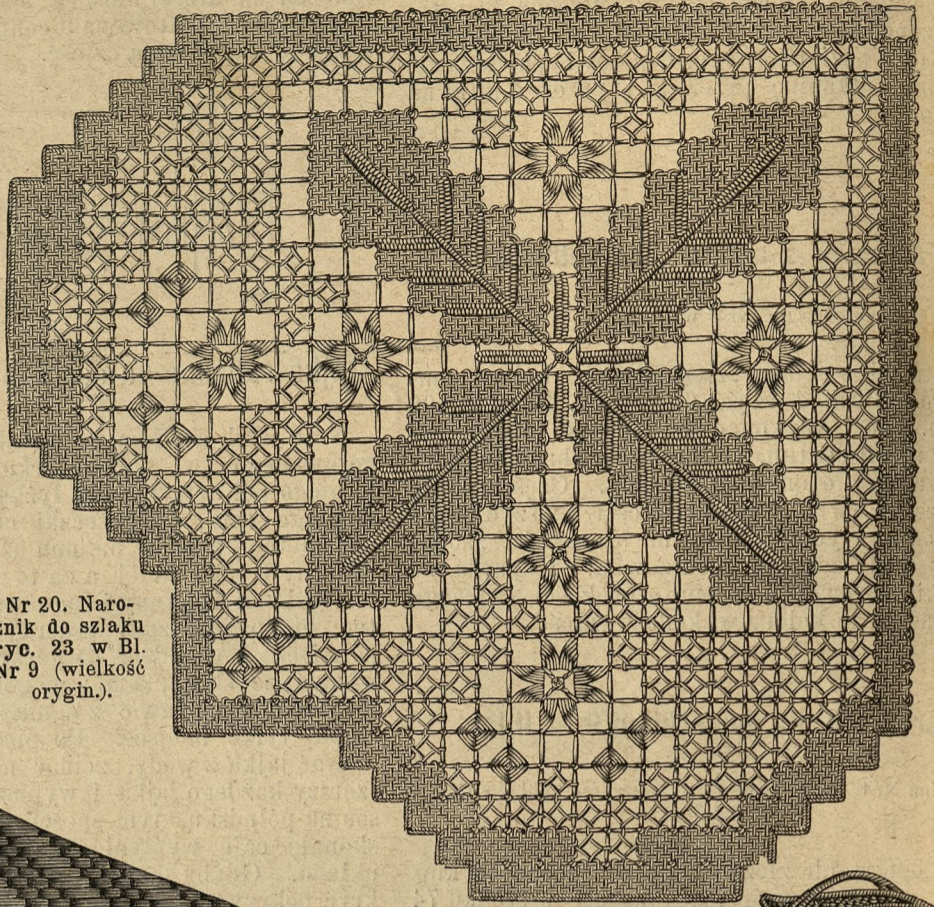
Nr 18. Część przednia sukni do ryc. Nr 17. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 49—58).

UWAGA.

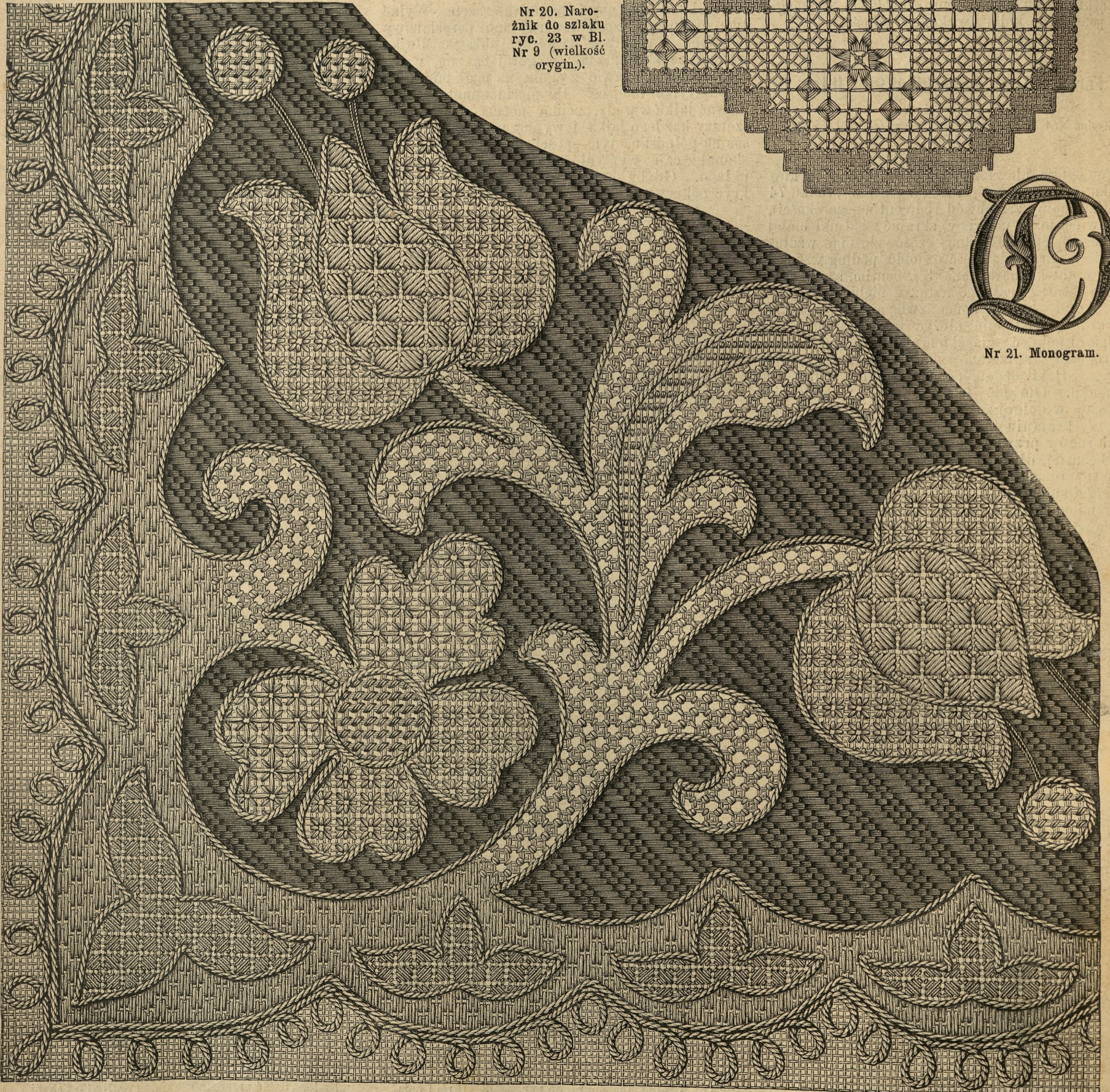
Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mających.



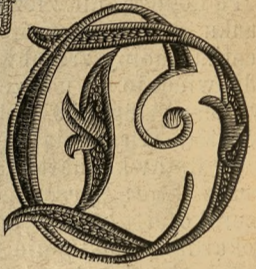
Nr 19. Poduszka (ścieg płaski) do ryciny Nr 22. (Deseń odw. str. tabl. Nr X, fig. 60.)



Nr 20. Naróżnik do szlaku ryc. 23 w Bl. Nr 9 (wielkość oryg.).



Nr 22. Część haftu do poduszki ryc. Nr 19. (Przedłużenie deseni odwr. str. tabl. Nr X, fig. 60.)



Nr 21. Monogram.